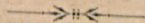




~~Nd. 1109 58c~~
~~947~~

3149.

Ignacy Chodźko.



Obrazy litewskie.

Wydane przez J. L. KUCZEWSKI

W BIAŁEJ.
Serya pierwsza.

Księga II. nr: 11

~~15 865~~ 861

OSTATNIA SESYA EKDYWIZYI.
SAMQWAR.
POWRÓT DZIEDZICA.

Złoczów.

Nakładem i drukiem O. Zukerkandla i Syna
pod zarządem Wilhelma Zukerkandla.



Chodzi
Obr.
439

Dział u
Znak 538
28 439

Gimnazjum im. J. I. KRASZEŃSKIEGO

OSTATNIA SESYA EXDYWIZYI.

W szczęściu miałem tłum przyjaciół
Co mię wiecznie kochać mieli;
Lecz gdy mię los z mańki zaciął,
Wszystkich razem djabili wzięli.

Dawna piosnka.

Ostatnie posiedzenie sądu dzielącego majątek biednego dziedzica między jego wierzycieli, podobnem jest do ostatniej godziny polowania, w której, mówiąc wyrazem myśliwskim, gończe z oka biorą zwierzynę. Lis stary, szchwany jak to powiadają, da jeszcze kilka tęgich obrotów, niżeli go pogoń lub strót zabójczy dosięgnie; ale trwożliwy zajacek dobywa sił ostatnich, aby doścignął swej kniei ojczystej, z której go wypłoszono, jakby tam koniecznie poledz pragnął, gdzie się urodził!!! Liczna stron gromada wywiera ostatnie, a najtęższe usiłowanie na zbiecie wszelkich środków obrony dziedzica; oblega stół sądowy prośbami tyczącemi się wartości rozdzielić się mającego majątku, miejsca gdzie kto wybiera i daną mieć sobie życzy posadę i wytknięcia najdotkliwiejszych, czy to błędów, czy to nieszczęść

dziedzica błędami ochrzczonych. Nareszcie uderzają go jakby na waletę, ostatnie razy mściwej niechęci, zawiedzionej nadziei, skarżącego się ubóstwa, nierozważnego natrząsania się, i zwolna dopiekającej intrygi. Ten, który przeszedłszy różne koleje życia nauczył się dotrwać w każdej, odpowie jednym, odepchnie drugich, pobłażył moźniejszym, lękliwym pogrozi i da uczuć, że jeszcze zupełnie nie upadł, wzgardzi innych, podwoi w tej stanowczej chwili siłę działania, i osobistość swoją nad tamę pogrążającą jego fortunę wyniesie. Ale młodzik nieznanący ludzi ni świata, któremu cheiwy interes z nieostrożnej i łatwowiejnej korzystający młodości, wprzód wydarł fundusz, niżeli on poznał wartość onego, który przebył drogę do zguby z zawiązaniem, że tak powiem oczyma, który we wszelkich stanowczych zdarzeniach życia, ledwo że nie traci przytomności, a najmniej nie zdoła utrzymać siebie na stopniu umysłowej nad losem wyższości; taki zazwyczaj z sercem ściśnionem i ze lżą w oku, słucha jakby nie słyszał uderzających go wyrzutów, i do poniesionej straty chleba dodalby jeszcze lat kilka swojego życia za skróconą jedną chwilę, tego ostatniego paroksyzmu swego moralnego skonania. Mamy prawa na bankrutów; czemuż nie mamy na tych, którzy do bankrutwa przywodzą? Kiedy widzę młodego czło-

wieka otoczonego rojem pochlebców, obłudników, samolubów, próżniaków i szachrajów, prowadzących go do zguby, przypomina mi się obraz od nianiek jeszcze opowiadany, jak to szatani dobrą duszę grzesznika do piekła zapraszają; oto go otoczyli w około: jeden mu się kłania pięknie, drugi go pod rękę prowadzi, trzeci na fletowersie marsz przygrywa, inny go z tyłu popycha, inny znowu ścieżkę gładzi i umiata; a wszyscy ciesząc się z zdobyczy dowodzą, że w piekle i wygodnie i ciepło.

Na obszernym dziedzińcu, do którego przez bramę ze zwyczaju tylko wjeżdżano, bo opadłe sztakiety i parkany wszędzie wolny dawały przystęp, wznosił się staroświeckiego kształtu budynek, którego jedna część z oknami całemi, zalecała się jako mieszkalna, środek z szybami po większej części papierowemi, oznaczający mógł letnią rezydencję, a jedna trzecia część bez okien i pusta, wyraźnie dawała poznać, że spustoszenie tu, jak zwycięstwo od lewego ku prawemu postępując skrzydłu, właśnie nad środkowym korpusem pracowało, a dziedzic w ostatniej reducie warownie się oszańcował. Reszta budowli otaczających dziedziniec, jednegoż z głównym rumem doświadczały losu. Wysoki lamus jak olbrzym stary, na szczudłach wsparty, poglądał z góry ogromnem wołowem okiem, na własną mizeryę, i na kuchnię u dołu jego

codzienną niższą, która nań wzajemnie, jak zgrzybiała i osmalona babula, pokornem i przyćmionem z ziemi mrugała oczkiem, a przez dach, jak z pod starego kapiszonika, suche wyciągała ramiona. Naprzeciw stajnia i wozownia, nie zamożna wprawdzie w zaprzęgi i powozy, lecz za to wozownia wartą była obejrzenia amatora starożytnych pamiątek; można ją było widać za skład wydobytych gdzieś jak z Herkulanum ułamków woźnictwa średnich wieków. Czerwone ogromne od karety pudło ze czterema galkami na wierzchu, na których ostatki pozłoty błyszcząły jeszcze, główny kął zajmowało; stary pokurę Bryś i kucheik Janek, wielcy między sobą przyjaciele, wygodną w niem mieli gospodę. Z drugiego kąta strwożyć mogła niebaczne przychodnia, straszliwa głowa murzyna od paradnych niegdyś sanek urwana; nieraz w nich zapewne przed jakich sto laty, młodą piękność rzeźwy i zręczny powoził młodzieniec, a murzyn niemowa sterząc na przodzie był jedynym powiernikiem ich oświadczeń i przysiąg; dalej szkielec poczciwej taradajki, w której nieboszczyk dziadulek dzisiejszego tych skarbów dziedzica, objeżdżał z koronką w ręku pola, łąki i lasy; z bliższych epok ćwierć faetonu i półtora kalamaszki. — Ale któż wyliczy bogaty zbiór kół i półkół, bryczek, półkrytków, z których

ręka znawcy ciekawy gabinet ułożyćby mogła. Niestety! przyjaciel Brysia nie jeden rosoł na tych pamiątkach zgotował, i jak mnie późniejsze doszły wieści, wszystkie je tym sposobem, nie oszczędzając i własnej kwatery, zniszczył.

Wśród tych powszechnych ruin jeden tylko folwark gospodarski staranniej był opatrzony; mieszkał tam bowiem pan Baltazar ekonom, dbający bardziej o własne niżeli o pańskie wygodki.

Właścicielem dworu tego, był pan Podkomorzyc, jednak dobrego urodzenia i wychowania, którego fortune ostatnia wybiła godzina; i dla tego na dziedzińcu jego, w dniu tym, który mi za treść służy, szczególniejszy zbiór i ruch postrzegać się dawał. Kilkanaście rozmaitych powozów stało przed stajnią, kilkadziesiąt osób różnego wieku i stroju, żywą prowadzących rozmowę, przechadzało się wielkimi krokami pomiędzy kilkunastu rozmaitej maści końmi, puszczonego wolno na osty i pokrzywy gęsto na dziedzińcu porosłe. Grupy te łączyły się lub się rozdzielały po woli i kierunku koni dążących tak lub owak do bujniejszej trawy; często najważniejszą naradę przerywał i roztrącał deresz lub siwak wciskając się nieproszony między gromadę konsultorów; często znowu na jakieś niewidome hasło, całą kompanię ludzką pochłaniał budy-

nek, a natenczas konie zdumione nagłem osamotnieniem podnosiły głowy, wyciągały chude szyje, i rżały jakby szyderczo.

W budynku samym scena w ciałniejszej zawarta obrazie, ożywieńszą jeszcze była. Tam w jednej z izb lepiej opatrzonych obrano sądową; na środku postawiono długi stół, na nim krucyfiks, stróż sumienia sędziów, i dzwonek, godło prezydenckiej władzy; w około stołu trzy krzesła, a za pierwszym z nich woźny, urzędową jak mogąc utrzymujący minę, oczekiwał na przybycie sądu i niedospaną fizygnomię swoją ożywiał, trzęsąc często z rożka na kulek tabakę i ogromnym ją po kulaku dziubiąc nosem. To przybranie nadało miejscu temu niejakaś powagę, a jednakże interes nie zważając na to żwawo się tu krzątał i pracował; drzwi się bez ustanku otwierały na oścież, lub się z trzaskiem zamykały; tłum rozmaitych figur tłoczył się i mieszał; tam rozkładano papiery, ówdzie rozpostartą trzymając mapę, kilkunastu z ichmościów na rozmaitych jej punktach, wzrok i palce oparli; kilku z czynniejszych facyendarzy przewijało się raźniej i żywiej nad innych; przebiegali oni od jednych do drugich, odprowadzali na sekreta, i wśród powszechnego gwaru rozprawiali wprawdzie ciszej na głos, ale mocniej na giesta i migi. Kiedy niekiedy usłyszalbyś

tylko „połowę na *bars gielt* — sto.... ani grosza więcej!... zjedz sto djabłów... połowę kapitału! Na suche bory i lasy... Nie doczekasz! Zgoda!“ i tym podobne wykrzykiwania oznaczające zawarte lub zerwane układy.

W zgiełku tym, tłumie i zamieszaniu odróżniał się spokojną postawą młodzieniec lat dwadzieścia kilka mieć mogący, pięknej postaci i łagodnych rysów twarzy, na której jednak nagle zmiany bladeści i rumieńca, okazywały wewnętrzne mocne cierpienia i wzburzenie krwi gwałtowne. Stał on w izbie sądowej oparty o okno i obojętnem na tłum zgromadzony zdał się poglądać okiem; przybywający do sali zimnym go witali ukłonem, wyżeł tylko siedząc na tylnych łapach przed panem swoim, patrzył mu w oczy jakby chcąc zgadnąć myśli jego, lub warował u nóg i burczał na podchodzących... Powiadają, że pies wierny zgadnie nieprzyjaciela!

Młodzieniec ten był to dziedzic rozdzielającego się majątku, pieszczony niedawno i szanowany od tych wszystkich, którzy dziś na stypę jego fortuny przybyli.

W końcu przy drzwiach stała jeszcze jedna figura spokojna i nieporuszona, człowiek dobrze podżyły ale czerstwy jeszcze i krzepki; uroda więcej niż mierna, rumiane policzki, włos siwy na głowie i także wąsy, a w całej twa-

rzy wyraźna poczciwość, ale nie łagodność wszakże. Stary to sługa domu dziedzica, ojcowski jeszcze, lecz od lat już dziesiątka szlachcic na zagrodzie w pobliskiej okolicy; patrzy on ze smutkiem na swego kochanego panicza, na dwór w ruinach za jego służby zamożny i porządny; na nieproszonych gości napelniających izby; patrzy.... milczy.... niekiedy pokręca wąsa i duma!... Jeden z uwijających się litygantów zbliżył się do pana Dogackiego (to było jego nazwisko) szepnął mu coś do ucha, mruknął coś nazad Dogacki, a forsujący odskoczył raptem w tył i przeżegnał się, widząc, że niepomyślną wziął odprawę.

Wtem otworzyły się zamknięte dotąd podwoje, i weszli sędziowie, a za nimi z wielką księgą pod pachą, w wytartej kapotce, przenikliwem na wszystkie strony rzucający okiem i z piórem za uchem, regent sądowy. Rzekłbyś, że gwałtowny wicher uderzył raptem z tyłu na tłum zgromadzony i razem wszystkich pochylił ku ziemi. Powoli prostowały się figury, a tymczasem na skinienie prezydenta, ozwał się najuroczystszym jak mógł głosem woźny: „Sądy Taxatorsko-Exdywizorskie przywołują się!“ — „Panowie! rzekł potem prezydent, proszę panów ostatnie dziś nam przynieść *petyta*, gdyż dziś niezawodnie weźmiemy sprawę do namowy i to jest ostatnia sesya.“ Na te

słowa szmer szczególniejszy dał się słyszeć po sali, ruch się podwoił, tłum się przewracał, popychał, szeptał i warzył, a tymczasem sędziowie zasiedli swe miejsca. „Słuchamy, rzekł znowu prezydent! cóż panowie?“ Wystąpił więc z tłumy pan Grzegorz mecenas, główny plenipotent kredytorów; figura tego jegomościa sucha, a podobniejszego dobierając malowidła, wymokła jakby i potem zawędzona, przedłużała się długą bocianią naprzód wysuniętą szyją, a kończyła się głową spłaszczoną po skroniach i policzkach, co tem wydatniejszym czyniło nos pana mecenas, kobuziego kształtu, z bogatym na końcu rubinem w miedzianą jakoby oprawę osadzonym, bo do takiego koloru zbliżały się policzki jegomościa; włos na głowie jego rzadki, nastrzępiony był niedbale nad czołem, które on marszczył lub rozmarszczał, stosownie jak ważne i zawzięte, lub łagodne snuł zamiary i myśli; a razem też się wytrzeszczały lub mrużyły zapadłe głęboko oczy pana mecenas. Zawołanyż to jurysta starej szkoły! *quondam* aplikant, a potem agent trybunalski, z kolei naczelny powiatowy prawnik, i co niedawno jeszcze szło za tem, naczelny do haustu; nakoniec odstawny pieniacz czuwający na wszelkie zjazdy, zajazdy, inkwizycye, tradycye, exdywizye, na których jako tęgą planistą i doświadczonego *executivus*,

ważną zawsze grał rolę. Całą on swoją drogę życia najwyborniej i gładziuteńko przechodził, bo wołał na wszystkich, wszędzie i zawsze słowami swojej profesyi: prawo! prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo, i dla tego nigdy się nie zaczepił!!! Wyciskał się tedy pan obrońca z pośród swoich litygantów, a co krok pociągany za kubrak nachylał się na jedną i na drugą stronę; każdy mu szeptał słów kilka do ucha i za każdym razem kiwał on głową i powtarzał: „rozumiem! rozumiem! pamiętam! aha! aha! dobrze! dobrze!“ i tym podobnie; jak kuryer zbiera po drodze listy do miejsca, gdzie się ma z tłomokiem rozpakować, tak pan mecenas z pełnym ładunkiem przybył do stolika, i wyprostowawszy się zawołał:

„Sądzie Exdywizorski! Wielmożni panowie dobrodzieje! proszę o głos!“ Prezydent skinął głową, a pan mecenas z cicha, powoli, i lamentującym głosem tak mówił: „Otóż chwila, sędziowie! w której macie stanować o losie kilkudziesięciu osób i familij, które fundusze swoje w marnotrawne powierzywszy ręce, za gotowe i krwawą pracą zebrane pieniądze, kawałek ziemi nieużytecznej i wcale im niepotrzebnej otrzymać mają. Stoją tu przed wami, sędziowie, w znacznej liczbie zgromadzeni nieszczęśliwi kredytorowie, wyglądający od was sprawiedli-

wości i wyroku, przez który mądrość wasza zajaśnieje przed światem, i sływać będzie w potomne wieki! Nie będę powtarzał poszczególnych wywodów interesu każdego z przychodzących wierzyteli, ani mojego własnego; bo to już w kategoriach osobnych, w produktach i replikach, miałem honor sądowi przelożyć; w ogólności więc tylko i ostatecznie zastanowię uwagę sądu nad tem. Jaki jest stan i wartość funduszu pod rozdział idącego? Konkludując oczywiście, że takowego wystarczyć nie może na usatysfakcyonowanie debitorów pana dziedzica i jego antecesorów, a zatem, że surowość prawa i rekurs dalszy *ad bona reperibilia* rozciągniętym tu być musi i powinien!“ Po tym wstępie, mówca coraz żywiej głos podnosił. „Cóż tu wziąć mamy sędziowie? ziemię! ale jakąż ziemię? piaski! podzały! błota! mchy! na których kredytorowie żurowiny tylko zbierać będą! a reszta choćby lepsza z natury, to pusta, nieuprawna, nieurodzajna; to Arabia! sędziowie, to Arabia!!!“ „A wiele wasan z tej Arabii zjadł pirogów?“ odezwał się z kąta gruby głos pana Dagockiego, „bodaj wasanu tyle...“ Uciszcie się panowie! uciszcie się! przerwał woźny. „Nie, Sądzie prześwietny! fałszywy to i nadto śmiały głos w obliczu waszem przyrywa mnie; mało tu było pszenicy, mało pirogów, a wkrótce nie stało i chleba; ale wszakże

nie tem co było, lecz tem co jest dzielić się mamy, i tem gorsza nawet wina dziedzica, że objął, dajmy to pszenicę, a oddaje plewy; że objął intraty i urodzaje, a oddaje pustki; bo zwał; Sądzie prześwieatny! mamy tu wprawdzie wysadzane ulice i klomby, jak je nazywają, a w rzeczy samej łożowe krzaki, w jakimś niby to ogrodzie założonym na nowo przez terażniejszego dziedzica; ale nie mamy lasów, wyciętych bez potrzeby i ładu, nie mamy łąk, zarosłych i zapłynionych w trzęsawiska przez niedbałość gospodarza.“ Za każdym następnie satyrycznym peryodem mówca szeroką rozpościerał gestykulację, rzucając kiedy niekiedy wzrok na dziedzica opartego przy oknie: „na klombach że tu tylko zasiewać i gospodarzyć, bo na polach nie masz z czem, i nie ma na co? kilka nędznych krówek w oborze, dwie stare i chude szkapy w stajni, oto cały dobytek gospodarski rogaty i nierogaty. Mamy za to psów bez liku i dobrze wykarmionych, (tu wskazał na tłustego legawca warującego u nóg Karola), ale tej trzodki zrzekają się kredytorowie dla dziedzica, niech cała przy nim zostanie! z licznej ruchomości, pozostają już tylko podarte obicia na ścianach, połamane taburety i stoły, szafy bez zawiasów i kluczków, i liczny zbiór butelek szampańskich i porterych, niestety! próżnych“ uśmiechnął się

tu mówca, uśmiechnęli się sędziowie, rozśmiała się publiczność, a pan Dagocki głową pokręcił. „Mamy i bibliotekę, ale nie wiele widać zawierają te księgi mądrości, gdy je pan dziedzic czytając ciągle, sposobu mienia pieniędzy nie wyczytał! niechże je i dalej szczęśliwie czyta, w czas mu będzie filozofia przy hołocie; dla tego i biblioteki zrzekają się kredytorowie. Cóż mówić o budowlach i o całym *fundum*? w gumnach, stodołach i spichrzach pustych deszcz przez dachy i ściany rynsztokami leci, a w dwóch tylko czy trzech tu pokoiakach, za ledwo może sąd prześwieatny, sam pan dziedzic, i my biedni kredytorowie jak pod parasolem ściśnieni usiedzieć! Coż tu więc sędziowie? i jak taksować będziecie? kiedy nie intraty, nie wartość kapitałów, ale *rudera* a zatem *onera* na karki kredytorów rozdawać macie. Prosimy zatem sądu o likwidację *cum altero tanto* i z nawiązkami! prosimy realizacyi i zasądzenia *pen* i kontumacyów!“ Tu pan adwokat zajadłe już wrzeszczał, przyspieszał słowa jedne za drugimi, przysiadł i podskakiwał raptem na stolik, i zakreślał w powietrzu palcem wskazującym i szerokim na nim herbownym krwawnikiem od ucha do stolika półkole: „*pen* i kontumacyów! bo dla czegoż jegomość nie stawał u sądu? dla czego narażał na kłopoty i ekspensa, swych

łatwo mu wiernych przyjaciół, swych śmiało powiedzieć mogą dobrodziejów? prosimy o licytację wszelkiej, prócz psów i biblioteki, ruchomości! prosimy o kalkulację *de asse et grano* z pana dziedzica; obowiązany on zdać ją, obowiązany pokazać, gdzie podział fundusz własny i pieniądze kredytorskie? Prosimy o lokację *secundum potioritatem*, a w tej kolei o pierwszość dla siebie i dla JWielmożnego Chorążego tu obecnego, *ante omnia* suplikuję. Prosimy nakoniec o uchylenie wszelkich wniosków, żądań, lub zaprzeczeń dziedzica; bo gdyby jakiegokolwiek czynić śmiał, zawołamy do niego! — tu mówca zwrócił twarz ku młodzieńcowi stojącemu przy oknie, a palcem stukał po stoliku. „Zawołamy do niego, oddaj coś winien! *redde quod debes!* oddaj nierzetelny debitorze! oddaj rozrzutny paniczku! oddaj marnotrawny synu coś winien! *redde quod debes!* a nie oddajesz pieniędzy? to oddaj wszystko co masz i wszystko, co mieć możesz; a nawet oddaj własną osobę; bo tak chce sprawiedliwość, bo tak każe prawo artykułu z rozdziału statutu Litewskiego!“ Na tę apostrofę zagrażającą jego osobie, dziedzic jakby niespodzianie i nagle zmię u nóg swych postrzegł, wstrząsł się i zbladł jak chusta: „nie masz klemencyi i moderaminu! kontynuował pieniający się konwulsyjnie pan Grzegorz, nie

masz! bo i temu prawo i sumienie sędziów zaprzecza! Sędziowie! *pereat mundus, fiat justitia!* to jest, jak się kto opisał, tak sądzon być ma!“

Odszedł od stołu mówca, ocierając czoło zapotniałe; lityganci kłaniali mu się na znak zadowolenia z odbytego głosu; JW. Chorąży ścisnął mu rękę z uśmiechem, a lzy toczyły się po zbladłej twarzy dziedzica; krzykiem mówcy czy instynktem wzbudzony wyżeł, zerwał się gwałtownie, warknął i chciał się nań rzucić; chwycił go za obrozę pan jego, a woźny słysząc hałas i nie dając uwagi od kogo pochodzi, krzyczał z nałogu: „uciszcie się Mości Panowie! uciszcie się!“

„Czy ma co do odpowiedzi obrońca masy?“ zagadnął znowu prezydent; „słuchamy!“ Wyszedł zatem z gromady chłopiec elegancko ubrany i przystąpił do stolika z miną niedbałą, z jaką przystępuje doktor do pacyenta bez nadziei; zabrał głos i tak zaczął: „Z obowiązku mojego i w swoim czasie, odpowiadałem poszczególnie i dostatecznie na wniesienia każdego kredytora; teraz pozostaje mi tylko prosić sądu, aby mimo wymowny głos godnego obrońcy wierzcycieli, sąd nie zapominał uwagi w sprawiedliwych decyzjach swoich, na formalność zapisów i podług niej kasował... Tu nagle postąpił do stolika dziedzic, odsunął swego

obrońcę; twarz mu teraz pałała gorączką, głos drżał na ustach, mówił szybko i dobitnie, bo mówił z serca. „Nie, sędziowie! nie masz żadnej nieformalności w moich długach; za podpis mojego ojca ręczy moje sumienie, za mój podpis ręczy mój honor! gdzie takowe podpisy najdziecie, wszędzie jest należność sprawiedliwą! zliczcie więc takowe należności! zaspokójdźcie je choćby ostatnią stopą ziemi, dotąd mojej ojczystej! nie oszczędzajcie żadnej mojej własności, choćby tego ostatniego fraka mojego! ja was o to proszę! a jeżeliby wszystkiego, co mam, mało było, pójdę z ochotą pracować przez całe życie, na zysk moich wierzycieli, byłem nie miał na mojem sumieniu, i w przekonaniu poczciwych ludzi zarzutu, żem pragnął cudzej własności, żem się dobrowolnie i rozmyslnie przyłożył do czyjekolwiek zlej doli!“ Odszedł; spojrzeli nań wszyscy z zadziwieniem, i potem spojrzeli po sobie, jakby z zapytaniem wzajemnem, co czynić należało? Tymczasem obrońca masy znowu niedbale przysunąwszy się do stolika odezwał się: „W takim razie, sędziowie! ja nie mam nic do powiedzenia.“ Prezydent więc już brał się za dzwonek, gdy rozepchnąwszy tłum pan Dagocki, stanął przy adwokackim stoliku i rzekł: „Ale ja mospanie tego, mam jeszcze coś do powiedzenia sądowi! Sędziowie

dobrodzieje! słuchałem ja, a bodajem ostatni raz słyszał, mowy długiej pana Grzegorza, którego znam i z pierza i z mięsa mospanie tego“... Podsunął się obok pan Grzegorz, to jest obrońca kredytorów, i przerwał: „Upraszam sądu o zapytanie tego jegomościa, jakim prawem rwie się do głosu i śmie zabierać godziny sądowe? a nawet nie prosił głosu!“ „A to śmieszna rzecz mospanie tego, Pan Bóg dał mnie głos, na cóż mam o to kogoś prosić? i używam mego głosu i języka poczciwie“... „Być to może mój panie“, odezwał się prezydent, „wszelakoż jeżeli pan nie jesteś kredytorem lub czyimkolwiek plenipotentem, więc nie masz prawa mówić u sądu.“ „Aha! rozumiem mospanie tego! a zatem, kiedy tak koniecznie potrzeba, poszukamy, poszukamy...“ Tu pan Dagocki wyjął z zanadry i rozwiązał stary, niegdyś czerwony pugilares, i włożywszy okulary, rozpoczął examen znajdujących się tam papierów, otoczyli go zbliska wszyscy, i zwrócili nań oczy. „Tu są różne mantyki mospanie tego, mówił rozpatrując powoli, była tu i karta nieboszczyka podkomorzego na sto talarów bitych. Zaraz!... zaraz!... to: nie, to nie to; to świadectwo nieboszczyka podkomorzego, Panie! świeć nad jego duszą! żem mu lat dwadzieścia ośm poczciwie i wiernie służył! a może ichmość nie wierzycie, że można tak

długo w poczciwości dotrwać? to proszę czytać, kiedy łaska! nie chcecie? no, to niechaj sobie mospanie tego... proszę uniżenie! gdzie to ta karta podziła się? To patent bractwa różańcowego XX. Dominikanów na pierwszego bratczyka; a to asekuracja mospanie tego tychże Ojców, że ja będę w niebie! Asekuracja krzykniono! pokaż panie Dagocki, pokaż zmiłuj się! Nic z tego nie będzie, odpowiedział starzec i schował papier, nie chcieliście czytać mojego świadectwa poczciwej służby, to i drogi do nieba nie pokażę. To, przepis doświadczonego lekarstwa na ochwat, a może któremu z ichmościów zdałoby się mospanie tege... dla koni? Nie! jak sobie chcecie! Dziwna rzecz! pewnie moja imość gdzieś tę kartę zakantopila; oj, bo ta moja imość!!! To dekret wywodowy mojej rodowitości; mniejsza co on pisze, ale żem szlachcic z antenatów, to tak mi Panie Boże dopomóż! Aha! otóż znalazłem, proszę.“ W rzeczy samej wyjął pan Dogacki stary i zawalany szpargał i złożył na stole sądowym. Prezydent obejrzał tę kartę i oddał oną dziedzicowi; ten również obejrzawszy: „Tak, rzekł, jest to podpis mojego ojca; pierwszy raz o tej należności słyszę.“ „I nigdybyś o niej mospanie tego nie posłyszał! ale potem o tem; a teraz mamże już prawo mówić?“ „Sędziowie dobrodzieje!“ wstał pan

regent i podchodząc do prezydującego rzekł zcicha, „a Salarie“... „Mniejsza“, odpowiedział ten, „formalności spełnią się później, a teraz, aby nie ściągać czasu, ma głos pan Dagocki!“ „Dziękuję mospanie tego! dobrze. Nie mogę ja, sędziowie, gadać tak gładko i po łacinie jak pan Grzegórz, bo ja w szkole nie bywałem, jak to powiadają, z infimy uciekłem mospanie tego, i zacząłem więc i skończyłem na *haec virga*, a więcej nie nie pamiętam i nie umiem; ale choć wszystko po prostu opowiem, to przynajmniej prawdziwie i poczciwie, jak i co tu było, i jak nasi przyjaciele zgubili nas; a kiedy komu nie do smaku będzie moja mowa, to niechaj, mospanie tego, nie słucha, niechaj sobie wyjdzie, wszak chwala Bogu na podwórzu ciepło. Otóż trzeba wiedzieć panowie sędziowie dobrodzieje, że po śmierci nieboszczyka podkomorzego, pana mojego kochanego, została się nam piękna fortunka, a takich ichmościów których tu dziś tłum, dwóch czy trzech tylko było, i to gwałtem trzymających się klamki pańskiej: bo co rok podkomorzy oddawał im substancją ich, ale z płaczem prosili swego dobrodzieja, aby im procencik płacił; dobre panisko nie mógł odmówić, ale jak on zawarł powieki, mospanie tego, został się młody podkomorzyc, zwyczajnie jak młody mospanie,

każdemu wierzył, a każdy go oszukiwał. Co spojrzę teraz po tym pokoju, to wszystko mospanie tego przyjaciele nasi, którzy nie proszeni i nie dziękowani zjadali nasze pieczenie, a dziś pożal się Boże!!! Ten sam pan Grzegorz, który tak tu perorował, wszak to całą krescytywę swoją winien nieboszczykowi podkomorzemu. Zostawszy on niegdyś deputatem wziął go z sobą do Grodna a był natenczas pan Grzegorz goluteński jak święty turecki mospanie tego; wepchnął go jakoś tam do palestry i kreował jak najlepiej, aż też zaczął wkrótce porastać w pierze; a teraz syna swego dobroczyńcę, do kozy pakować myśli!!! Ale nie doczeka tego mospanie!“ — „Sądzie prześwietny! przerwał pan mecenas, niech stawający kredytor mówi do rzeczy, to jest o swoim długu, nie zaś kalumnii osobiste, do interesu wcale niewłaściwe!“ — „Aha! prawda w oczy kole mospanie tego! do rzeczy, do rzeczy będę mówił, ale pamiętaj jegomość, że w długu i interesie jegomością nie ma rzeczy.... Otoż powiadam panom, że po śmierci podkomorzego hurmem do nas cisnąć się zaczęli rozmaite figury, a pan Grzegorz jako domowy nasz sługa, zalecił się mospanie tego do podkomorzycy na *totumfackiego* i konsyliarza. Wszyscy mu zaraz i pan konsyliarz wmawiać zaczęli, niechaj sam powie, kiedy

nieprawda, mospanie tego, że on jest wielkim panem, że garściami może pieniądze rozrzucić. Zaraz tedy kredyt zupełny i powszechny; „oddasz pan dobrodziej kiedy zechcesz, każdy mówił, karteczkę tylko dla śmiertelności i nic więcej“; a to nieszczęście największe dla młodego mospanie, kiedy łatwo pożycząć, to dług rośnie mospanie tego jak na drożdżach. Więc napelniać się zaczęła stajnia nasza końmi rozmaitej maści i denominacyi; psiarnie, dziedzińce i pokoje kundlami różnego kształtu, których teraz nazad przyjmować nie chcą; zwozić tu zaczęto jak do norymberskiego sklepu, rozmaite nam niepotrzebniusiennie rzeczy: fajki, cybuki, dubeltówki, zegareczki, pierścioneczki, faetony; a za co, naprzód póki stało, szły pieniążki nieboszczyka podkomorzego, a potem karteczki mospanie tego, które we czworo a może i w dziesięcioro, Boże odpuść! otaksowawszy swoje towary, brali kochani nasi przyjaciele. Byli i tacy mospanie tego i są teraz tutaj, którzy jakieś pretensye z czasów podobno króla Batorego do nas przypomnieli; postraszyli, że będą prawować się, pan *totumfacki* nasz zadecydował, że im słusznie się należy; więc w kombinację; na polowę po sprawiedliwości mospanie tego, i przecie zgoda; a podkomorzyc nie karteczki już, ale całe karty czy oblige wydawać musiał. — Przy-


chodził co rok święty Jerzy, to każdy z ichmościów podjeżdżał po procencik: nie masz pan dobrodziej pieniędzy, to przypisz pan dobrodziej procencik do kapitału, dla śmiertelności mospanie tego; znowu dla śmiertelności tylko! Oj! będzie śmiertelność fortunie, mówiłem ja nieraz i ostrzegałem mego kochanego podkomorzyca; ale konsyliarz nasz, pan Grzegorz, powiadał zawsze, że to nie, że Dagocki stary gdyracz! a pan Baltazar ekonom, którego on na mojem miejscu zarekomendował, i który tu na koniku kusym przyjechał, a teraz oto widzę jak Pers nadęty stoi, i podobno mospanie tego ma nadzieję panem zostać, obiecywał co rok to większe urodzaje i intraty. W takich nadziejach szło wszystko jednostajnie na zgubę, i coraz to gorzej; nie ustawały kupie, handla, borysze, darowizny i hulanki; a zkadże taka gromada butelek? Podkomorzyc nie pijak; sami ichmość wypili i sami teraz drwią sobie. Powiedz sumiennie panie Grzegorzu, wiele ich sam jak smok wyssałeś? — Uśmiechnął się sąd, zaśmiała się publiczność, a pan mecenas wyszedł za drzwi. „Była tu prawda i liczna i śliczna ruchomość, były kantyny, serwisy, sztuce, puhary, słowem mospanie tego, było srebra jak drzew; a gdzież to wszystko podziało się? JW. Chorąży dobrodzieju, wzięłeś całą kantynę srebrnego kredensu na dwanaście

osób za parę szlapaków, jak potem pokazało się, nosatych.“ — „Te... tego... nareście...“ odezwał się zaambarasowany pan chorąży, „dobrowolnie to... i w dobrej komitywie.... zatem!...“ „Nie masz co odpowiedzieć JW. Chorąży, mospanie tego; a srebrny talarami sadzony puhar? Mości Sędzicu dobrodzieju“, rzekł obracając się do tłustego grubego, a niskiego jegomością, którego na dwóch całych sędziów stało. „Mości Sędzicu mospanie tego, wszak pamiętasz pan jak na imieninach podkomorzyca, które cztery razy do roku obchodzić mieliście zwyczaj, choć już dobrze podweselony, poszedłeś w zakład o ten puhar, że go duszkiem wychylish za zdrowie solenizanta, a był to puhar mospanie tego półgarcowy!!! i dokazałeś sztuki, wygrałeś puhar.“ Pan Sędzic zajękliwy i zawzięty z natury, wysunął się naprzód, przekrzywił okropnie usta i z wysileniem jak z pistoletu wypalił: „pu!... pu!... pu!... pu!... pu!... ha aaaarr, te... te... ten!“ Śmiech powszechny przerwał panu sędzicowi. „Nie zajaka się tak, mospanie tego, kiedy łyka“, podrzucił pan Dagocki, czem rozgniewany jeszcze bardziej pan sędzic, mownie zawałował: „pu... pu... pu... pu... h a a arrr!...“ widząc wszakże, że mu dokończyć nie dadzą, bo śmiech coraz się powiększał, zawrócił się nagle i wcisnął się w tłum, gdzie

go przyjęto huczmem w około: pu!.... pu!.... pu!.... pu!... — Tymczasem woźny krzyknął: „uciszcie się!“ a Dagocki dalej kończył. „A taratka waszecina panie Baltazarze, czyż nie z kontusza nieboszczyka podkomorzego? A krówki nasze! gdzież się na paszę nie rozeszły? W rozmaite strony, za lada pokłonem i prośbą. Nie ma podkomorzyc tak twardego serca, jak ci co go obdzierali; każdemu chciał dogodzić, każdego ująć, każdemu coś wyświadczyć: czy biednemu, co nie żał, czy nie biednemu a chciwemu, co pożał się Boże! To też wszystko mospanie tego, rozeszło się, rozdało, rozdawało, z dobrego serca, a teraz ot że masz wdzięczność! Przyjaciele chcą go z biczykiem z fortunki wyprawić. Dobry panicz! poczciwy i rozumny nawet! czyta a czyta książki, nie szuler, nie pijak, a przecież zginął mospanie tego! Cała jego wina, że nie miał mocy powiedzieć tego słowa: *nie dam!* albo *won z mego domu!* a wszystkoby inaczej poszło!!! Ale sędziowie dobrodzieje! jest jeszcze sposób wyratowania się, proszę tylko posłuchać.“ Jakoż na to wezwanie natężono uwagę. „Oto niechaj każdy z panów kredytorów, podług Boga i sumienia *tacto pectore*, jak powiedział nieboszczyk podkomorzy, to jest poczciwie, po szlachecku, a choćby i pobożywszy się za prawdę, wyzna szczerze wiele pożyczyl panu podkomorzycowi

pieniędzy? a wiele?... wiele?... jakby to powiedzieć mospanie tego? — wiele ma u niego na karteczce dla śmiertelności, niepożywszy gotówki, z facyendy naprzykład? Wiele warte było to co dawał, a wiele taksował dla podkomorzycy? i tak dalej mospanie tego. Po takiej subtrakcyi, w Bogu nadzieja! będzie i wilk syt i koza cała!“ ...Znowu śmiech powszechny przerwał mowę panu Dagoickiemu. „Śmiejecie się panowie? macie więc za żart poczciwą radę? więc nie ma zgody? No! to inaczej poradzę. JW. Chorąży dobrodzieju, dawałeś mi rok temu nazad, stępaka ze siadzeniem, abym tylko wyswatał córeczkę pańską Urszulkę podkomorzycowi; powiedziałeś natenczas: ja kredytorów puszczać z kwitkiem, niech tylko podkomorzyce zapisze mojej Urszulce sto tysięcy złotych. Swatałem, radziłem, cóż poradzisz? kiedy choć ty kół na głowie chesz, ani weź nie chce on pańskiej Urszulki. Ale z czasem może się panicz opamięta, mospanie tego, a teraz powiedz pan dobrodzieju ten sposób puszczenia z kwitkiem?“ „...Sądzie przeświétny! przerwał wróciwszy do sali pan mecenas, powtarzam prośbę zwrócenia tego jegomości do własnego jego interesu; niech mówi o swoich stu talarach, nie zaś o naszych należnościach, które sąd justyfikować będzie.“ — „Tak!“ ozwał się przy-

dujący, „mów panie Dagocki o swoich stu talarach...“ — „Aha! Mospanie tego! sto talarów! moich sto talarów!... To mam wzięść za nie kawałek ziemi, kawał pola, które mię tyle lat żywiło? odebrać kawał chleba od syna, którego ojciec mnie chlebem karmił! od dziewczka, którem na rękę wypiastował?... O niechby mnie piorun trzasnął na tej samej skibie ziemi,“ rzekł uderzając nogą o podłogę, „którąbym wziął za te sto talarów!“ — Porwał swój oblig, mocno wzruszony starzec, ucałował podpis, oddał go, wsunął za nadrę, a resztę pisma podał na szmatki i cisnął na pokój. „Wkrótce mospanie tego,“ kończył on, a łzy płynęły mu po licach; „wkrótce da Pan Bóg złączyć się mnie tam!... z moim kochanym panem; powiem mu, dalibóg powiem: zostawileś panie mój poczciwego syna, ale otoczyli go.... mospanie tego!!“ — Nie dał mu kończyć również płaczący dziedzic, rzucił mu się na piersi, całował go z całej duszy, starzec całował go także i ścisnął.... cała gromada z rozmaitemi twarzami patrzyła na tę rozrzewniającą scenę... Przerwał ją dzwonek prezydenta. „Do namowy!“ zawołał woźny! „Do namowy!“ ruszyła się więc hurmem z sali cała gromada, i zatrzasnął woźny drzwi sądowe, zawierając za niemi los dziedzica, sprawiedliwość sędziów, i nadzieje kredytorów!



S A M O W A R.

„Twoja fortunka choćby i chatka,
Będzie się dobrze wydawać;
Jeśli z sta złotych będzie intratka
A z nich choć dziesięć zostawać...“

Lecz gdy ci w głowie wielmożność zaświeci,
Zechcesz żyć huczno, huczno przyjąc gościa;
Jak jegomościem zostałeś z waszeci,
Tak znów waszecią będziesz z jegomością.“

Któż w Litwie nie zna starego Muchina? któryż dom nie ma go przynajmniej raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy dostają wybornej, lub miernej, w miarę jak chcą płacić, herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimą tuluba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur? na które swoje całoroczne małe gromadzą dochody. Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma coś do przypomnienia, dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół; słowem on tu w Litwie ma pewnie więcej znajomych i dłań uprzejmych niżeli w swej rodzinnej stronie. — Ten tedy Muchin

w mroźny styczniowy poranek w wigilią Trzech Króli zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzic płacąc nieuważnej młodości długi zbankrutował nakoniec; i opuściwszy staroświeckie pradziadów swych gniazdo, popędził się w świat za fortuną, która mu z własnego domu uciekła.

Muchin wie czego komu potrzeba; po serdecznem więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano, dobywał tuluby z doskonałych macic dla jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla imości, a płócienka, rypsy i nienajlepsze perkaliki dla panienek; ale na ten raz Muchin się oszukał, bo pan Baltazar Sularski w ciągu roku, który przedzielił tu bytność kupca, z ekonoma został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrzutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność i za nią usadowił się wiecznem a wilczem prawem na folwarku, gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nie już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy poznał na co się zanosi i przepowiedział zły koniec dziedzicowi i dla tego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniósłszy do izby towary, postrzegł w niej niejaki odmiany, była na nowo wybieloną, na miejscu zedła

stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stolik czechtkowy, kilka krzeseł około stolika; na ścianach na miejscu pobożnych obrazków, cztery pory roku, Venus à la Tycyan i historya syna marnotrawnego; .ha! pomyślił stary lis, coś tu inszego pokazać przyjdzie; jakoż z oburzeniem odrzuciła imość i panienki wszystko co przyniósł, a jegomość objaśnił zadumienie Muchina wykrzykując w pełni ukontentowanej miłości własnej: „Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! djabli wzięli mego pana! podkomorzycza, a teraz ja tu pan!“ — „*No pozdrawlajem! pozdrawlajem!*“, rzekł Muchin, „napijemy się wódeczki za zdrowie pańskie! to dobrze! to wysmienicie! *ja etomu oczeń rad!* I imość konchanińka! i panienki *tepier barysznie! eto charaszo! eto oczeń charaszo!*“ Tym czasem mruknał kilka słów niezrozumiałych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczał długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspomniał czaj i samowary, panna Salomea starsza córka ichmość gospodarzy, podskoczyła raźnie, jakby starego Muchina pocałować chciała! ach! samowary papuniu, samowar i czaju, wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewanną du-

się się musimy; papa dalibóg musisz kupić samowar; czy Pan Bóg papie nie dał, chwala Bogu teraz i majątku? czy nie ma za co?“
 „Ej! co tam bredzisz“, ofuknął się jegomość;
 „idź precz z tym swoim samowarem; ot napijemy się z poczciwym Muchinem żytniej herbaty, to lepiej będzie, do wać pana, panie Muchin.“ — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafił do celu, pociągnęła nieznacznie mamę za suknię, weszła do alkierza, a za nią i mama; tam z płaczem przełożyła mamuni, że nigdy za mąż nie wyjdzie, kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak dotąd; bo nikt nie bywa u nas, więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał, czy my po ludzku przyjmujemy? ot pan asesor może i do prawdy ma się do mnie, bo nieraz powtarza, że mnie kocha, ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie, to jegomość wita go pierwszym słowem: „Ja podatki opłaciłem“ — traktuje potem prostą wódką, a dla koni nie daje obroku; i czy mało ktoby się zdarzył... „Nu dakco?“ przerwała mama, chcąc dopomóc losowi córeczki, „czegoż trzeba?“ „Trzeba mamó kupić samowar i herbaty, mieć czem przyjąć i potraktować gości! czy mama nie potrafi, jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?...”

„Da to prawda, czy mało gdzie ja była i czy mało co widziała!!!“ Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego. —
 „Niechajże mama idzie“, dodała, całując jej rękę i niech jegomość kupi samowar; „da kupi, pewnie kupi“, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sularski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem dobił targu o tulub i wnet się weń ustroiwszy przechadzał się rozkosznie po izbie, podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był za długim na niską i krępą figurę jegomości; „a co duszko? widzisz w jakim ja sobie tulubie? powlekę go sukmem i dam kołnierz ze starej *miedźwiedzi* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacji w czasie exdewizji kupiłem, ot będę miał i *miedźwiedzie*.“
 „Da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszeć jegomość (bo pani Sularska, dla której przez lat 30 mężulo był *waszecią*, trudno do jegomościa przywyknąć mogła, i najczęściej etykietalne i nalogowe zwanie męża razem łączyła) „ot waszeć jegomość kup lepiej *samowar i herbaty!*“ — „Czy znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? ja piję z rana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz, kiedy jaki mości pan przywlecze się; córki niech piją mleko, nie-

chaj sobie i dziewannę z miodem...“ „Ot waszeć balamucisz“, przerwała imość, „i po wszystkim; chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za mąż powydawać, a nie chcesz żyć jak ludzie!“ „Papa wszak mówił onegdaj“, odezwała się pokornie Salomeja, „że chce zostać sędzią granicznym.“ „Ale sędzią! a czy ten samowar zrobi mnie sędzią?“ Poparł całą swą wymową żądanie imości i panienki Muchin. Jeszcze razy ze trzy imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę samowaru, obawiając się, aby udobruchawszy się nie zapomniał się i nie stracił na przedłużonym targu; nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki i radom Muchina, który odebrawszy podwójną wartość samowaru zaniósł go z poważną i pontyfikalną miną na stolik w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a blyszczącego gościa przygotowany. Funt herbaty dopełnił reszty kupi, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszki wychyliwszy kroplę, po kilkakrotnem zapewnieniu kupca, że nigdy nie minie tak *czesnych* gospodarzy, rozstali się wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomeja z nowego naczynia. Ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkiem, i zdaleka i zbliska;

rozbierała go na części, ekscentrowała wewnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić, aby przygotować herbatę na samowarze. Nagle myśl ją wielką objęła! jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pędem i znowu pociągnęła mamę za suknię do alkierza.

„Wiesz co mamó?“ — „Nu dak co?“ — „Jutro imieniny jegomości, Trzech Króli: Kasper, Melchior i Baltazar!“ — „Aha! nu dak co?“ „Zrobim mamó siurpryzę!“ „Co to jest siurpryzę? czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tu niema; a może jeszcze czego i z kramów?“ — „Ale nie mamó! nie!“ — „Waszeć Salomciu niepotrzebnie u pani sędziny nauczyłaś się pańskich fumów! my szlachta, na co nam to potrzebno! tak daj pokój tym syr... sur... jak tam gadasz!“ „Ale mamó to nie potrawa, to co innego!“ — „Nu dak cóż?“ — „To znaczy, że mimo wiedzy jegomościnej zaprosimy na jutro gości, wydamy herbatę z samowara i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa i wie-dzieć o tem nie powinien.“ „Nu dak co? dak trzeba powiedzieć jegomości?“ Zniecierpliwiona córunka taką niewyrozumiałością mamę, „ale co imości dzieje się“, rzekła i zaczęła

obszerniej i jak można najjaśniej tłumaczyć swoje plany, a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nu dak co? więc milczenie wzięwszy za zgodę i wyrozumienie wyszła z alkierza panna Salomea i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.

II.

W opustoszałym gmachu pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniej jego przedtem fortuny, mieszkało jeszcze dwóch sług jego. Stary Michał kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do rodziny panów swoich, których trzem pokoleń wiernie służył; płacząc on codziennie nad zniszczeniem ostatniego swego pana, którego na rękę wypiastował, pilnował ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni, rozmyślając sam o przyszłości z uczuciem takim, z jakim stary wojownik ogląda na pola, które niegdyś były placem jego tryumfów. Nienawidził on Sularskich, bo znał, że oni przyspieszyli ruinę panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem i faworytem panicza. Ten włócząc się z panem po miastach, dworach i miasteczkach przejął obyczaje i manierę sługom wielkich panów wła-

ściwą, to jest grubijaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuteryę dla wyższych stanów; nie cierpiał także Sularskich, bo gdy dawniej odnosząc im często rozkazy pańskie połajał ekonomą, zniósł on to cierpliwie i jeszcze imość nieraz pana Józefa na śmietanę zaprosiła, a teraz Sularski kwitując za swoje nieraz eleganta Józefa chamek nazwać odważył się i stu bizunami grożąc, dodawał: „odpowiem panu twojemu i zapłacę mu, bo taki on hołysz jak i ty.“ Oba zaś sładzy jak Izraelici Mesyasza, tak czekali powrotu swojego pana. Wraz po eksdywizyi pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja swojego, którego jedynym był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pieniędzmi do fortuny, a zatem ze sposobnością wyrugowania z niej nowych jej posiadaczy.

Wieczorem w dniu bytności Muchina w jednym z pokojów pałacu, stary Michał, siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziej z naluğu niżeli z potrzeby, staw bowiem ryb pełny należał do pana Sularskiego; zażywał przytem często tabakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy. Józef w ostatkach niegdyś sajetowego surduta, poprawiał ożogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybuka i przewalając się na łóżku prawil Michałowi

androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie i wszędzie gdzie był wydarzonych. Za każdym nowem jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tabakę, a w tym weszła panna Salomea do izby.

„Dobry wieczór Michale! dobry wieczór Józefie!“ nieodpowiadając na komplement Michał, a prosto zawsze zmiierzający do interesu, „a czego waćpanna chcesz?“ zapytał. „Przyszłam mój kochany Michale prosić u was jednej rzeczy!“ — „Jakiej rzeczy? My z łaski waćpaństwa żadnej już rzeczy nie mamy; stoły, stolki, krzesła i kanapy, wszystko a wszystko zabraliście, siedzicie, jecie, spicie na naszych rzeczach!!! Niech wam Pan Bóg....“ zatrzymał się stary.... grzech przeklinać pomyślał, dokończył więc odmieniając przekleństwo na życzenie, niezupełnie wszakże życzliwym być mogące. „Niech wam Pan Bóg po sprawiedliwości dopomoże! czegoż waćpanna chcesz?“ — Panna Salomea zaróżowała się ponsowo na tę apostrofę staruszka, jednak cierpliwie zniósłszy, „nie o to idzie kochany Michale“, rzekła, „ja nic brać od was nie chcę, ale przyszłam prosić, abyście mię nauczyli jednej rzeczy.“ Grzeczniejszy Józef od Michała wstał przecież z łóżka i zapytał: „czegoż takiego chce panienska nauczyć się od nas?“ „Mój papa kupił dziś od Muchina samowar!“ — „Ehe! już i samo-

war od Muchina, lepiejby kupił garnków od Ławryna,“ mruknął uszczypliwy Józef. Znowu rumieniec oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego conceptu, kończyła: „ja wcale tego nie chciałam, bo na co to nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił; otóż proszę kochany panie Józefie naucz mię jak robić herbatę na samowarze.“ „Herbatę na samowarze? powtórzył niedbale pan Józef, poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachód!“ — „Zdaje się, że nie tak bardzo, ot wszak tu jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry, że mnie dokażesz jak co zrobić? będę starać się odsłużyć tę łaskę panu Józefowi.“ — „A dla czegoż koniecznie dziś? już późno, węgle nie wypalone, będzie czad, pochorujem na głowy i nic więcej; niechaj którego tam dnia innego, to obaczemy.“ — Ale bo mój Józefie, ale bo widzisz....“ Panna Salomea nie chciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz nie było innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odważyła się nakoniec; „bo widzisz mój kochany Józefie jutro Trzech Króli.“ „Aha! jutro Trzech Króli,“ odezwał się Michał, „wielkie święto! nieboszczyk pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilią Trzech Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdym drzwiach

i powiadał: tędy bieda nie wejdzie; i chwała Bogu za jego czasów nie weszła. Ale po nim nikt liter nie pisał i...“ tu zażył mocno tabaki, pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie. Dowcipna Salomea wnet schwyła za węgiel i rada, że się przypodoba staremu, „ja, kochany Michale“, rzekła, „tymczasem choć węglem napiszę na waszych drzwiach te trzy litery, właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę.“ Nieszpetną więc rączką ujawszy delikatnie, aby się nie umazać węgielek napisała Salomea na drzwiach wielkie C. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązaniem oku siatki, patrzył na piszącą. „Czekaj waćpanna jeszcze nie wszystko“, rzekł: „jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami.“ Salomea podjęła węgielek i położyła krzyżyki. „Nu teraz dobrze, daj Boże waćpannie zdrowia i męża da Pan Bóg kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie.“ Cierpliwa panienka, znowu do Józefa się obróciła i rozumiejąc, że zapomniał o zaczętej powieści; „więc że kochany Józefie nauczysz mnie zaraz o co cię proszę?“ Ale Józef chciał wyczerpać do dna przyczyny i zamiary panny ekonomówny, domyślał się bowiem czegoś nadzwyczajnego, i postanowił albo dobrze ze zrzętności skorzystać albo odplacić

znakomitym figlem za niegrzeczne przegródki Sularskiego. „A cóż panienka zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Królach i nie kończysz? dla czegoż koniecznie jutro potrzeba herbaty z samowaru? czy będą goście jacy?“ — „Otóż to widzisz kochany Józefie, jutro imieniny papy.“ „Jakiej papy,“ odezwał się znowu Michał, „papa to chleb, a kiedyż to imieniny chleba?“ — „Nie Michale! to imieniny naszego ojca; wiesz, że jemu imię Baltazar.“ „A teraz to zwyczajnie ojca dzieci nazywają papą! dawniej,“ odpowie Michał, „dzieci chleb nazywali papą, a ojca tatulą; ale to wszystko jedno, zawszeż ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa i to papa.“ Po tej moralnej uwadze znowu Michał siatkę wiązał. — „Otóż mój kochany Józefie może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad, gdyby dać herbatę z kupionego samowara.“ „A któż może się zdarzyć? chyba zaprosicie kogolwiek sami“ „Mama podobno ma poprosić z kościoła na podwieczorek i na herbatę panią sędzinę z córkami; podobno będzie pan asesor i jeszcze tam ktokolwiek może.“ — „A to co innego, to będą huczne imieniny pana Sularskiego. No! to sprawiedliwie, trzeba dać herbatę z samowara.“ — „Więc Józefie ja pobiegnę po samowar.“ — „Na co to potrzebne! jutro jak się zbiorą goście, panienka

daj mi znać, ja przyjdę do piekarni i tam wszystko należycie urządzą.“ „Ale bo mój kochany Józefie jak czasem jutro w domu nie będziecie, a my naprosimy gości!“ — „Kiedy ja panience daję słowo, że nigdzie nie oddalę się i będę czekał tu na miejscu, bądź panienka spokojna!“ — „Zmiluj się kochany Józefie! i sam herbaty się napijesz, i podwieczorkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się chusteczki jakiej na szyję dla Józefa.“ „Nu dobrze, dobrze, idź Waćpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmieniej.“ Niedowierzając panna Salomea szalbierskiemu uśmiechowi pana Józefa, jeszcze mu powtarzając prośby raz i drugi dygnęła, po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu, zostawując Michała już drzemiącego, a Józefa zamyślnego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednej stronie zyski swoje: podwieczorek! herbata! i chusteczka! na drugiej śmiech, wstyd i złość dla Sularskich. Ważył, rozważał, miarkował; — i jak to najczęściej bywa na świecie w wyższych i niższych stanach zło przeważyło, zasnął więc wybierając tylko sposoby swej zemsty.

III.

Nakryto pięknie stolik, a zebrani liczni goście obsiedli go do koła; imieninki Sular-

skiego wybornie obchodzone. Pani sędzina primadonna tej fety, z trzema córeczkami równiennicami w wieku trzech panien Sularskich w wybornym była humorze! Pan asesor zalecający się naprzemian to do starszej panny sędzianki, to do starszej panny byleją ekonomównę, znajomej nam panny Salomei, w wybornym był humorze. Jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wąsa poglądający z rozkoszą na sporą karafkę czerwonej cieczy w rezerwie na kominku stojącą, wróżąc jej smakowity wkrótce użytek, w wybornym był humorze. Pan komornik byleją tu eksdywizyi, przybyły po resztę od kupca doliczanych solariów i odebrawszy je od pana Sularskiego z sowitością w wybornym był humorze. Sam jegomość dobrodziej gospodarz i solenizant w nową czarną suto taśmami oszemerowaną był odziany węgierkę, szeroka, jedwabna, zielona na szyi chustka, w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z lancuszkim od zegarka za nadrę wepchniętym, a tym sposobem, grubopłaska figura jegomości na dwie szerokie połowy bławatno złocistą wzdłuż się przedzielała pręgą — grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to skarbnikiem, to rotmistrzem. — Ustrojony więc i utytułowany pan Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec poglądając

z rozkoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech panien sędzianek, podchodziła do jegomości i szepcząc mu na ucho, tę sprawiedliwą swej radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze szczególniejszym przymileniem pytała pomrukiującego mężuła: „Nu dak cóż duszko? Nu dak co?” A to oznaczało wyraźnie, że w wybornym była humorze! A tak cała zebrana czereda w najpiękniejszym usposobieniu około stolika, jakem to powiedział, osiadła.

Tymczasem Józef dotrzymując wczorajszej obietnicy za daniem mu hasła przystawił się naprzeciwek i już od pół godziny z młotkiem pracował około samowaru, dowodząc pannie Salomei, że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi. Samowar był wysmienity i cały; na co zaś ten ladać go dził, skutek to potem okazał! Lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu kolej, ważnych dnia tego wypadków!!!

Dwoma przeciwnymi sobie elementami wodą i ogniem napelniony samowar, wzniosł oburącz Józef i powolny prośbie panny Salomei, zadarłszy jak najwyżej swój nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawić wśród gości na stoliku to nieszczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salunia z niewymownym wdziękiem

piękną swą rączką na wierzchołek kurzącego się komina *czajnik* wzniosła.

O dziewico! dla czegoż tyle wiesz o sile pary, ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli! Dla czegoż nie wiesz, że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach, że hamowana rozrywa, ale dziewica siedzi najspokojniej przy panu asesorze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitem wiekiem. „Czas nalewać herbatę“, odezwała się pani sędzina. Panna Salomea powstaje i chce ująć czajnik; pan sekretarz ujmuje za butelkę czerwonej cieczy... a w tem... .. zrywa się wieko samowara i ulatując do góry, wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczołki Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbatą; wierzch spadając trafia na łysinę papuni, który jęczącym oj! oj! oj! zawtórował wrzaskom dziecięcia. Tymczasem nagle uwolniony war prysknawszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorse osiadłej około i zamoderowanej męskiego, żeńskiego i nijakiego rodzaju gawiedzi; jak lawa z krateru gorącymi potokami się rozlał. Na dobitkę w powszechnem zamieszaniu i wrzasku ktoś trącił nieostroźnie, modny na jednej nożce stolik — wywraca się samowar i ra-

ptem półwiadrem waru podlewa obróconych tyłem do stolika panią sędzinę i pana komornika a panu asesorowi ocierającemu właśnie trzewiczki na sparzonej nóżce panny Salomei w gęstą czuprynę gorącego z żarem zasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie. — Wszyscy jednym popędem skoczyli do bokówki uciekając od piekielnego ogniem i warem buchającego smoka. Lecz asesor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: *palim się!* Na to słowo przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna, w mgnieniu oka wyparte z uszaków i pobite otworzyło wolny przestwór, przez który cisnąc się jedno przez drugiego cała kompania na koniec w wysokiej hurbie śniegu tuż pod ścianą osiadła!!! Niech mi daruje przezacne towarzystwo w śniegu uwięzłe, gdy powiem, że nie jęczało, nie krzychało, lecz naksztalt roju wilków około Gromnic zebranych, różnemi głosami wyło. A co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie w złej doli, niezgoda wszczyła się między nieszczęśliwymi, tak i tu pani sędzina, poczęła lajać panią Sularską, po razy kilka ją przekłętą ekonomową nazywając. Można było darować tak bolesnie podlanej sędziny, i pani Sularska skłonna być się okazała do puszczenia płazem obelgi, bo tylko zawołała: „Nu dak co? że ekonomowa! nu dak

co?“ Ale panna Salomea obok matki w hurbie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za matkę, wykrzykując: „ach! wacpani sędzina! osobliwość! sędzina! osobliwość!“—I byłoby dalej zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jej czele z zalanym pożarem na głowie asesor i sekretarz jego z butelką czerwonej cieczy w rękę, którą arcyprytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powracano do pokoju. Nikt nie był bez szwanku, każdy oparzony lub opalony złorzeczył i przeklinał. Imościanki piszcząc i płacząc z bólu, pytały się wszelako jedna drugiej, czy zblakują oblane sukienki? Proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystko było wesoło!!!

Sam jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwałając, chciał pójść z nim w tuzy. Retyrujący się Józef, oskarżył pannę Salomeę. „Jam panienkę nauczył jak postępować z samowarem, cóż ja winienem?“ Usprawiedliwiony Józef uciekł, a jegomość wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagle policzki wyciął po pięknej buzi Salomei; ledwo drugiego dokończył, gdy bolesny w plecy kulak dał mu uczuć, że córka ma mścicielkę w mamuni, chciał więc i żonę aplaudować

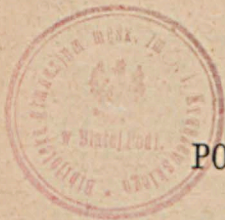
zapamiętały Sularski, lecz pan komornik stanął w obronie.

Owoż naprzekór wszystkim prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *nieweselem* — bo katastrofa taka zniweczyła wszelkie nadzieje panny Salomei z oświadczeń pana asesora powzięte, a które świetnym obchodem imieniem papy, i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomiczną sferę, ugruntować chciała. Chociaż bowiem po najszybszym odjeździe rozgniewanej sędziny i dalszej kompanii, pan asesor z sekretarzem i komornikiem, powodem uratowanej czerwonej cieczy zostali, i ona z udobruchanym gospodarzem do ostatniej wysuszyli kropli; wszelako uległa tak sówitej konfuzyi panna Salomea nie pokazała się więcej. „Nu dak co? że ojciec ciebie szturchną!! nu dak cóż? dla tego to nie! ot tylko wstań i wyjdź zaraz“ mówiła do niej matka w alkierzu. Na rozsądną radę Salomea odwróciła się tylko do ściany i mocniej stękać zaczęła, a tymczasem i pan asesor wyjechał, zabrawszy z sobą samowar, który mu pan Sularski jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem dawał.

Gdzież oryginały, zapytasz czytelniku, dla którychby powiastka ta za obrok duchowny służyć mogła? Komużby ją poświęcić i, że tak

powiem, przypisać należało? — Ach zejdź czytelniku do wielkich niegdyś hrabstw naszych, na malutkie dziś przez eksdywizye porozdzielanych czastki, zejdź do tych kilkochatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkudziesiętni; iluż tam Sularskich? ileż pannie Salomeek najdziesz!!! Im więc to poświęcam moją powiastkę, z wróżbą niechybną w godle i z sensem moralnym w takim epilogu:

„Gdy cię los w niskim pomieścił stanie,
Zbytkiem się nie unoś zdrożnym —
Lepiej być dobrym mo spanie,
Niżeli śmiesznym w i e l m o ż n y m.“



POWRÓT DZIEDZICA.

—
Nie pogardzaj ubogiego,
Szannij wszystkie stany;
Poznaj w chłopku brata twego,
A będziesz kochany.

Krakowiaczy i Górale.

Niedaleko od opisywanego w poprzedzających obrazach dworu, jest wioseczka od chat kilkunastu, w przyjemnym i wygodnym położeniu osadzona. Mieszkaniec wsi, rolnik, przyjaciel włościan, który często obcuje z nimi jak z braćmi swymi, który z upodobaniem mieszkania ich i gospodarstwa nawiedza, zna to miłe uczucie, jakie nas ogarnia, gdy się schładne, dobrze obudowane i wesołe przechodzi siolo; serce się pochyla ku niskim strzechom, rozumie, że tam siedlisko spokojnej doli; myśl pokrzepia się i zasila prostym wyrazem pocziwego włościanina, tak, jak znarowiony zbytami żołądek zasila się i pokrzepia łyżką prostej strawy z piekarni i kawałkiem razowego chleba. Nie potrzeba dręczyć wyobraźni na urojone opisy pasterskich sielank i wieśniaczych chat, aby miłe i życzliwe

dla nich obudzać uczucia. Rzeczywistość bez przesady, obrazy włościańskich obyczajów z natury wzięte, sercu skłonnemu do czystych, wiejskich, spokojnych rozkoszy, równie upodobanemi będą, a słodsze w niem i głębsze, bo prawdziwe obudzą wrażenia.

Oto masz dziedzińczyk do około zabudowany domostwem, w którym mieści się dobytek i zamożna chudoba gospodarza; z chlewa ci kilka pięknych wynidzie krówek; za niemi poważne suną kroki dwa woły, jakby młodszego rodzeństwa opiekuny, a względem pana swojego jak starzy pracy jego i mozołu na polu współnicy i towarzysze. Z innej zagrody z boku, wybiegają gromadną stadą owce i tłusta maciora liczne swe wyprowadza potomstwo; wszystko to zmierza na środek dziedzińca ku studni, przy której mały chłopczyk trzyma na powodzie ulubionego konika, i z której hoża młodzica lub rażna dziewczka wyciąga wodę, i jak Rachel pojąca trzodę Labana ojca swojego, rozlewa oną dla swych krówek i wszelakiego otaczającego studnię żywiołu.

W końcu dziedzińca są wrota na gumnisko. Żadna murawa w pięknych naszych parterach wypieszczona, nie przewyższy świeżością i powabem murawy gumniska porządnego (a tylko o porządnym tu mowa) włościanina. To miejsce jego niedzielnego wypoczynku, w czasie

letnich skwarów, pod cieniem kilku brzoź lub klonów rozpościerających tam najczęściej stare i gęste konary; to miękkie posłanie, po którym koczują i tarzają się swawolne chłopięta, albo też spadają na nie bezpiecznie z przepłotu lub strzechy, gdy po wróble gniazda pną się tam nieostrożnie. Otwarta obok i zielonem sianem napelniona odryna rozlewa w powietrzu miły aromatyczny zapach, komuż nieznajomy! Ileż razy myśliwy po dziennych trudach, albo podróżny unikający niewygody karczemnej, znalazł w wiejskiej odrynie rozkoszny nocleg i miękkie posłanie, a oddychając wonnym aromatem poił się snem błogim i spokojnym, w którym ciało nowej czerstwości i siły, umysł swobody, wesołości i nowej miłości życia nabrały!!! Osobno zagrodzony ogródek zajmuje część gumniska, kilkanaście jabłoni, grusz i wiśni, kilka krzaków pięknej kaliny i kilka grządek nagietek na niedzielne kapturów i namiotek ozdoby, rozkwita razem, buja i karmi tam liczne familie pszczołek, w kilkudziesięciu a często i w kilku kopach ulów pomieszczonych; brzęczą one swobodnie po ogródku, po drzewach, po nagietkach i po osielicy*) tuż za gumniskiem gęstą trawą i polnem kwieciem zarosłej, a rozciągającej

*) Osielica łąka ogrodowa tuż za chatą gospodarza leżąca.

się pospolicie aż do granicy posiadłości chłopka; szczęśliwego, jeżeli natura dała mu poczciwość i pracowitość, a los szlachetnego pana w udziale

Z takich gospodarzy składała się wioseczka, niegdyś do młodego dziedzica, a po upadku jego do kilku różnych właścicieli należna. Bystry strumień w głębokim parowie przerzynał ją; na nim most, a przy moście na wzgórzu, jakby opasły ekonom wśród czeladzi, lub jakby strażnik doglądający przeprawy, wznosił się ogromny eksdywizorski kopiec, na którym, jak Maryusz na ruinach Kartaginy, siadywał często i odpoczywał stary Michał, gdy przechodził do wsi, przynosząc kumom i swatom, starym jak on, i jak on przywiązany do familli dawnego dziedzica, nowiny obwieszczające bliski powrót onego, a zatem odmiany pomyslnie dla wszystkich.

Dwór, który znamy już cokolwiek, bośmy go w smutnej godzinie eksdywizy przeglądali, przybierał teraz postać i szatę nową. Kilkunastu rzemieślników pracowało tam od niejakiego czasu. Stolarze układali posadzki, odmieniali drzwi i okna; mularze przestawiali piece; malarz sufity i ściany w piękne stroił arabeski; słowem razem wszyscy pracując, ożywili pusty niedawno i zrujnowany dom ten. Pomiędzy nimi z wielką miną, niekiedy pałac

wspaniale fajkę, niekiedy przygwizdując lub rozmawiając poufale, przechadzał się znajomy nam figlarz pan Józef, pochwalając jednych, zachęcając drugich, a wszystkim dając do zrozumienia, że i zaleta i nagana od niego niewęcej zawisła.

Kiedy niekiedy pan Baltazar Sularski, widząc ruch taki w budynku, i chcąc się dowiedzieć przyczyny, a wyciągnąć konsekwencye, przychodził tam z folwarku niby nawiasem; ale rzemieślnicy nie wiedzieli a z Józefem trudna sprawa! Gdy wchodził Sularski, on zadzierał nos w górę, przechadzał się wspaniale i gwizdał. „Dzień dobry panie Józefie!“ zagabnął raz Sularski. — „Aha!“ odpowiedział Józef, patrząc na malarza siedzącego na rusztowaniu, „to piękny ptak co pan teraz malujesz panie Adamie! rychtyk takiego widziałem żywego w Warszawie!“ „Wątpię panie Józefie, czy mogłeś widzieć takiego ptaka“, rzekł malarz, „bo to feniks.“ — „Ach? czy jednego i czy raz? może z dziesięciu! jak dziś pamiętam!“ Malarz pokręcił głową, a tym czasem ciekawy Sularski przerwał: „wielka fabryka, Panie Józefie!...“ Znowu Józef: „aha!“ i ani pół słowa więcej. — „Zapewne pan podkomorzyc powróci; słyszałem, że się ma żenić! Daj Boże szczęśliwie! czy to prawda, kochany panie Józefie?“ — „Nie! to ja

mam się ożenić“, odpowiedział nakoniec Józef, „i będę tu sobie mieszkał jak pan!“ — „Do prawdy? to co inszego!!! z kimże takim myśli pan dobrodziej ożenić się?“ zapytał szydersko uśmiechając się Sularski. „A może i z pańską najmłodszą córeczką Helenką, bo panna Salomea nie umie herbaty nalewać.“ — Sularski na taką niespodzianą deklaracją, zatrzasnął drzwiami, a wychodząc z przyciskiem wymówił: „Oszust!“ Józef patrząc złośliwie za odchodzącym wymówił także „oszust!“ „Obadwaj powiedzieli prawdę“, odezwał się na końcu malarz na rusztowaniu; rozśmiali się rzemieślnicy.

Mniej skryty i łatwiej komunikujący się stary Michał, jeżeli gdzie się spotkał z panem Baltazarem, i gdy ten go zapytał o przyczynę rozruchu w budynku, bez ogródki odpowiadał: „Wybieraj się waćpan w drogę, pan nasz ożenił się; wziął wielki posąg i wszystkich waćpanów wypędzi, fort! fort! mospanie fort!“

Złowrózbe te przepowiednie, którym nie zupełną wszakże dawał wiarę pan Baltazar, nabierały wszelakoż coraz większej pewności. W sąsiedztwie i w plebanii w niedzielę z tą samą powszechną spotykał się wieścią; we własnym nawet domu podsłuchiwał nieraz jak w piekarni czeladź, opatrzwszy wprzód, czy niema której panięki, opowiadała nowinki, o hu-

cznem weselu pana, o pięknej, młodej i bogatej pani, którą Dagocki widział na swoje oczy, bo jeździł na wesele, choć to ztąd o mil pięćdziesiąt; a nakoniec Józef odebrawszy przez tegoż samego Dagockiego rozkazy, wyjechał niespodzianie dnia jednego w drogę, i zapowiedział, że powróci z państwem.

Zbliżała się wiosna, wcześniejszym dogrzany promieniem śnieg stopniał, i w szumne rozlał się potoki; gdzie niegdzie pod plotem leżał on jeszcze szczerniałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach oczekujący chwili, gdy go ziemia pochłonie; lecz natura brała już popęd życia! Chwila jeszcze sennego otrętwienia.... przejdzie natychmiast! a wszystko razem jedną ożywczą popchniętą siłą, rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. Skowronek w powietrzu, wierzbna na ziemi, obwieszcza tę chwilę i uprzedza; a niedziela wierzbna jest jakby dniem ostatniej między zimą a wiosną walki.

W wigilią tej pięknej niedzieli, stary Michał z życzliwością Kaleba*) dla swoich panów, i z równą troskliwością, rozmyślał w spiżarni o materyałach na przyszłe święcone. Z czegoż pani pirogi i babki piec będzie? pytał on w myśli sam siebie, i szukał napróżno odpowiedzi w jaszczkach i faskach;

*) Npżeczona Lammermoru, romans Waltera Skota.

wiedział on dobrze, że tam nic nie znajdzie, ale poczciwy starszek chciał cudu rozmnożenia chleba w pustyni! Nakoniec zmęczony sam siebie, stanął na środku spiżarni, zażył mocno po kilkakrotnie tabaki, pokiwał głową i wyszedł ocierając z łez oczy; poczem namyśliwszy się trochę szedł prosto do wioski. Przez drogę uspokoił się zupełnie, owszem wesolą twarz przybrawszy, usiadł jak zwyczajnie na kopecu, co było hasłem zebrania się około niego prawie całej ludności.

„*Za tydzień, wielki dzień!* he? co wasze myślicie? zagadnął Michał. Prawda! chwala Bogu!“ odpowiedział stary Marcin; „jeszcze raz z waszcią kumie zjemy wielkanocne jajko, a to podobno już z kopę zjedliśmy razem, od jego czasu jak waszci do kuchni a mnie do pokotu wziął nieboszczyk pan stary! wieczny jemu odpoczynek!“ „Bracie Marcinie,“ rzekł Michał, „o młodym pogadamy. Ożenił się, wiem pewnie, ożenił się; przyjadą oboje na święta, a zatem jutro podług dawnego zwyczaju przynosić wloczebnę!“ — „Ależ kumie,“ rzekł znowu Marcin, „zapomniałeś, że my do panicza już nie należym, że mamy nowych panów, że na czyim wózku jedziesz, temu i pieśni śpiewaj!“ — „A ty zapomniałeś?“ przerwał, podnosząc się Michał, „zapomniałeś czyj chleb jadłeś przez lat pięćdziesiąt? Zapomniałeś jak

dobremi dla ciebie byli dziad i ojciec terazniejszego pana? Zapomniałeś, że cię nieboszczka pani ożeniła, i jaki posąg dała twojej żonce, a swojej wiernej Marysi? zapomniałeś, że z ich łaski, twoje synki i całej wioski na książkach Pana Boga chwałą? A czy jeden dawnoby z was na mogilniku ziemię gryzł, gdyby w chorobach waszych pan sam was nie doglądał i nie miał gotowego zawsze lekarstwa? Zapomnieliście wszyscy, że od dziadów i pradziadów my ich dzieci?...“ „Da to prawda! święta prawda!“ zawolali wszyscy starzy i młodzi, a babki szczególniej rozczulone powtarzały: „to prawda! ale nacóż on nas w cudze ręce oddał?“ Michał usiadł znowu na kopcu, bo mu nogi z mocnego wzruszenia drżały, i rzekł: „oddał! oddał! to i odbierze! Stary Michał nie kłamie nigdy i stary Michał modli się codzień i prosi Boga, aby kiedy umrze, garść piasku nie cudzy jaki człowiek, ale własny mój rodowity pan na oczy rzucił; i doczekam tego za Boską pomocą, doczekam!!!“ „Tak cóż robić teraz? i jakże będzie?“ pytano zewsząd — „Oto tak“, prowadził dalej rzecz swoją Michał, „jutro bratki odnieście włóczębne prosto do budynku, ja was tam przyjmę chędogo po dawnemu.“ — „A jak Sularski zajdzie nam drogę? bo już nakazywał o włóczębne.“ — On swoją drogą, a wy swoją!

cóż on wam zrobi kiedy jego wraz djabli.... tfu, Boże odpuść! kiedy jego wraz nie stanie, a ja panu waszą życzliwość opowiem. Wiecie stare przysłowie: „*Rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą!*“ „Także i będzie jak mówisz kumie!“ odezwał się Marcin, „jutro ja sam ich poprowadzę z włóczębnem do dworu.“ Wstał Michał, pożegnał zgromadzenie, lecz odszedłszy kroków kilkanaście zwrócił się jeszcze i do odchodzących zawołał: „*Sluchajcie gospodynie! Krysio! Katryno! Elźbieto! jeżeli która z was ma kurę tłustą albo kapłona, to przyniescie, potem policzym się z każdą; bo chociaż u nas chwała Bogu śpiżarnia nie pusta, wszelakoż zda się to na pieczyście.*“ Baby kiwnęły głową na znak zgody, a stary powędrował spokojnie mrużąc wieczorną modlitewkę swoją „*Pod twoją obronę uciekamy się.*“

Niech co chcą mówią gabinetowi teorecy, *pseudo-filantropi*, znający kraj swój z mapy, gospodarstwo z ogrodów, a włościan i panów z potwarczych i fałszywych wyobrażeń, naśladowczem powtarzaniem okrzykiwanych, którzy zaprzeczają i ujmują ludzkości panom, a chłopkom życzliwości i przywiązania ku panom, a raczej pierwszym ucisk, drugim nienawiść przyznają. Nie tak jest jednak w istocie! nie tak jest w ogólności! Długimi laty spojone, z pokoleń na pokolenia przelane związki wło-

ścian z ich dziedzicami, są najczęściej obu stronom miłe i drogie; włościanin przywykły do opieki, dobroci i łagodności swoich panów, tłumaczy dzieciom i rozpowiada dzieje ich domu i dworu, łaski sobie świadczone, przygody wspólnie wycierpiane, i przyzwyczajają przyszych gospodarzy do szanowania i starych panów i panicza przyszłego ich pana. Panicz od mamki i niańki naprzód zabiera znajomość, wiadomość stanu, potrzeb i zwyczajów włościan; od niemowlęctwa prawie przywyka do nich, uczy się codziennym przykładem z obejścia się rodziców z poddanymi owej opiekuńczej, rodzicielskiej, że tak powiem, ku nim skłonności; nakoniec wpaja w siebie głęboko przekonanie, że od dobrego bytu jego włościan, własny jego byt dobry zależy, i odziedzicza razem z fortuną wzajemne poddanych i ku poddanym przywiązanie. Wieleż to razy w Litwie się zdarzało, że pamiętni cnoty i dobroci ojców i dziadów, a wierząc w również uczucia ku sobie młodych często marnotrawnych panów, włościanie składali dobrowolnie im ofiary i pieniądze na opłacenie długów, byle tylko w obce nie być przedanemi ręce. Wieleż razy stan zamożny włości zniknął widocznie przez to tylko, że nowy nabywca nie miał i nie mógł wzbudzić zaufania ku sobie poddanych, którzy nie dowierzając mu, tracili

ochotę do pracy, gdy jej owocu nie byli pewnymi! — Falszywym jest mniemanie, że włościanin chce coraz odmiany pana; nie! do dobrych, do kochających go szczerze, do sprawiedliwych, do sumiennych, pobożnych, (bo i włościanie nasi są pobożnymi) panów, przywyka on serdecznie; a jeżeli bogacze nasi, dziedzice coraz rzadsi dawnych świętych imion i dostatków, zaniechawszy patryarchalnego ojców ich z włościanami swymi obejścia się, nie znający ich i sami im nie znajomi i obcy, spuszczają wszelkie z nimi stosunki, na swych komisarzy; jeżeli tem samem lekceważą i dozwalają wiednieć i rozrywać się wieńcowi z kłosów, który panów i kmieci w jedną wzajem sobie życzliwą familię, jak ule pszczoł pracowitych z ich matką ogarniał; to ujmują sami sobie najmiłszych, najczystszych i codziennych rozkoszy, a może trwałszych nawet niżeli mniemać mogą korzyści!!!

Nazajutrz zielone bukiety z rozpękłej wierzby i jałowcu, zakwitły we wszystkich rękach; z niemi włościanie z rana przed nabożeństwem szli do dworu postrojeni świątecznie, niosąc w białych chustkach po dziesiątku jaj. Mężczyźni w białych siermięgach, w wysokich z siwych baranów czapkach, pasami czarnymi przepasani; w granatowych sukienkach czuhabach, w litych kapturach na głowach matrony;

a w różnych i obciśle ściętych gorsetach, w różnokolorowych spodniczkach dziewczęta. Warokocze świątłych włosów w długich wstążkami przewijanych kosach spadały im na ramiona, szyje i piersi w śnieżnych koszulkach zatajone i kilkunastu sznurkami koralu, bursztynów, lub błyszczących paciorek jaśniejące; rumianych jagód, czerstwości cery, i pięknych błękitnych lub czarnych oczu, nie jedna z moich czytelniczek mogłaby im pozazdrościć! Szły one jedną gromadą, niosąc w rękach trzewiki i pończochy, które dopiero pod kościołem przywdziać miały. Chłopey w podobnych co i starsi gospodarze odzieżach, wpadali często swawolnie między tę gromadę, a natenczas śmiechy i hałasy rozlegały się do koła. Na przodzie wszystkich szedł stary Marcin, w piaszczystej, na duże stalowe guziki zapiętej kapocie i z jedwabną chustką na szyi; niósł on pięknego koguta, a niektóre z kobiet niosły kury podług wczorajszej odezwy Michała. Nakoniec przed Marcinem jeszcze, sypało się liczne gromno dzieci obojey płci i różnego wieku, chędogo i strojno ubranych, które biegąc i przeganiając się wzajem, smagały się bez uwagi i miłosierdzia po oczach, uszach, nosach i twarzach różgami wierzbowymi i krzyczały zapamiętałe: „Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień wielki-dzień.“*)

*) Słowo obrzędowe wierzbnej niedzieli.

Jak tylko gromada ta wyszła z wioski i ukazała się na drodze wiodącej do dworu, a przez dwór do parafialnego kościoła; wnet pani Sularska wyniosła z córkami stolik przed folwark, zasląła go białą serwetą, położyła bułkę chleba, kilka serów, i postawiła dwie wielkie cynowe misy na skład wloczebnego; sam zaś Jegomość stanął przy stoliku piastując w rękę sporą flaszę miedzianą z czarką z tegoż metalu; i tak wszyscy czekali gromady. Zdziwili się jednak mocno, że przed budynkiem Michał podobniuteńkie zrobił przygotowanie, z różnicą, że zamiast mis cynowych, postawił fajansowe półmiski, a zamiast miedzianej flaszy, jakiś staroświecki hlaczek, zawierający podobno ostatnie zapasy równowiecznej z nim samym staruszki.

„Co on myśli ten stary Barabasz? mówił Sularski do żony i córek: co on myśli?“ Tym czasem zbliżali się włościanie i weszli do bramy, z której postrzegli podwójne przygotowania na swoje przyjęcie, Marcin zatrzymał się chwilę w wątpliwości odnawiającej się po wczorajszemu; ale działwa kochająca i przywykła do Michała, a bojąca się Sularskiego jak niedźwiedzia, zwróciła się ku budynkowi i rozbiegła się po obszernym dziedzińcu. Michał widząc niepewność swojego kuma Marcina, machnął nań ręką, czem i jego i całą

gromadę zdeterminował, że się do niego zwróciła. — „Dokąd wy idziecie? dokąd chamy?“ krzyknął Sularski! ja zaraz was po swojemu zawrócę!“... Wtem pędząc klusem, konny wpadł na dziedziniec, i zsiadłszy z konia: „czy tu mieszka pan Sularski,“ zapytał. — Ja to jestem, odpowiedział samże pan Baltazar. — „Oto pięknie! tylko co nie minąłem; a teraz masz pan list pilny, proszę czytać i mnie trzy ruble zapłacić, bo tak mnie zgodził pan Rejent.“ — Posłaniec ten w kubraku ciemnym bajowym, dobrze wytartym i kusym; mógł mieć lat pięćdziesiąt, czerwone policzki, wąs rudy i rzadki, włosy wysoko podcięte składały się w czuprynkę w kształcie jakby peraki srebrnorusej i zlełka podfryzowanej; oko na przekor włosom czarne i żywe; a w całym ruchu i w całej postaci, nadzwyczajna rzeźwość i rubasznosc, wydawały w przybyśzu światowego bywalca, i wstępne bez ceremonij towarzysza. Jakoż rozgościł się poufale od razu. „Za pozwoleniem mego dobrodzieja,“ rzekł, „ja i mój konik odpoczniemy sobie, i przekąsim cokolwiek z łaski pańskiej, bo djabelnie obadwa zhasaliśmy się! A to pięknie! mił siedm dziś, i bez popasu!“ — zaprowadził zatem konia do stajni, rozsiadł go, postawił u żłobu, zarzucił siana, a sam przyszedł na śniadanie do jejmości.

Gdy pan Baltazar włożywszy na nos okulary, sylabizował z cicha list do siebie pana mecenasa Grzegorza, od exdywizyi nam znajomego; tym czasem złożywszy włóczębne na stoliku u Michała, a kury wpuściwszy do kuchni, włościanie poczęstowali się skromnie i ruszyli tą samą gromadą do kościoła przechodząc około okna Sularskiego; ale już on ich zawracać po swojemu nie myślał, bo nowiny które odebrał z Wilna wcale niepomysłne były.

„Bodajesz szyję złamał tu jadąc“ rzekł pan Baltazar przeczytawszy list pana Grzegorza, do posłańca czekającego spokojnie śniadania, i poglądającego na miedzianą flaszkę stojącą na kominku: „miałeś poco tu lecieć!“ — „A to pięknie! mój dobrodzieju! posłańca ni ścinają ni wieszają; za co mój dobrodziej na mnie się gniewa? Oto pięknie! ja z konia żyję i z konia służę; szlachcic jestem Bogu dzięki, Jan Bonawentura Babilo do usług mego dobrodzieja; mam kondycyą moją właściwą pod Żupranami, ale mieszkam w Wilnie na Sawicz ulicy w domku pana Koczyńskiego, co gra na fagocie w teatrze. Oto pięknie! kto mnie każe temu jadać.“ — „Nu dak co?“ przerwała ten potok rekomendacyi pani Sularska. — „Oto pięknie! jeżeli moja dobrodzika.“ — „A niech cię kaci porwą! czy pięknie czy nie pięknie,“

krzyknął zniecierpliwiony pan Baltazar; „czego tu chcesz u licha?“ — „Wódki naprzód i zakąski mój dobrodzieju; dziś jeszcze ani rosy w gębie nie miałem, oto pięknie! a potem trzech rubli i kwita!“ „Wódki? na, masz, pij!“ rzekł nalewając z flaszki Sularski, „ale co do pieniędzy zjesz djabła!“ — „A to pięknie! toż to mój dobrodziej jak plebejuszowi jakiemu wtyka czarkę w rękę! przecież do Jana Bonawentury Babilu i przepić można; oto pięknie!“ — „No więc do waćpana, przepraszam!“ „A to co innego!“ Wychylił czarę pan Bonawentura i nie stawiając na stole, podniósł ją do flaszki: „*alterum tantum* po drodze mój dobrodzieju!“ — „Niech i tak będzie,“ rzekł nalewając Sularski, „pij!“ — Wychylił znowu do dna i stawiając czarę: „oto pięknie! *Deo gratias!* wysmienita!“ zawołał, ocierając wąsy. „Co do pieniędzy, mój dobrodzieju to mniejsza oto! Pan regent zapłaci mnie we dwoje, a od mego dobrodzieja odbierze we czworo, a może i w dziesięcioro, oto pięknie! Zhasałem mil dwadzieścia, powrót drugie tyle, to mamy ośmdziesiąt, i mam powrócić z kwitkiem, oto pięknie!!!“ Sularski tymczasem chodził wielkimi krokami po izbie, dąsał się, przeklinał, nareszcie wykrzyknął do żony: „Duszko! wszystką djabli wzięli!“ — „Ot pięknie!“ gryząc ser podchwycił pan Bonawentura, „dla czego?

i za co? czy to mój list takiego nawarzył piwa memu dobrodziejowi?“ — „A nie już co innego!“ — „Nu dak cóż ten list?“ zapytała pani Sularska, patrząc w oczy mężowi, „nu dak cóż?“ — „Masz! czytaj!“ rzekł on, rzucając list na stół. — „Ale gdzie tam tak długo? na życiu mojem tyle nie przeczytałam pisanego! Niechaj przyjdzie Salomea!“ — „Ja przeczytam, kiedy moja dobrodziejka każe,“ odezwał się Babilo, „może nie ma sekretu?“ — „A jaki u licha sekret, czytaj,“ rzekł Sularski, i ten zaczął:

„Kochany panie rotmistrzu!“ — „A to pięknie! Mój dobrodziej rotmistrz, a ja o tem nie wiedziałem! to mój dobrodziej wojskowo traktował? oto pięknie! Niegdyś to i ja wywijałem szabelką na sejmickach, ale jak przyszło do żołnierki, pomyśliłem sobie ot to pięknie!... „Czytajże wasan dalej,“ przerwała Sularska. — „Aha, otoż dalej.“ „Kochany panie rotmistrzu! przegrałeś sprawę w departamencie zupełnie...“ „A to pięknie! to mój dobrodziej miałeś sprawę! Ach! czemuż ja o tem nie wiedziałem? otóż bym podforsował! ja sam mam pięć spraw w tymże samym departamencie, które attentuję teraz siedząc w Wilnie; i mam nie chwalać się przyjaciół! Pierwszy aktorat, to z moją żonulą dobrodziką, oto pięknie! która mnie wypędziła z mojego

folwarku, *alias* z kondycyi; na mocy jakoby reformacyjnego dokumentu. Prawdę mówiąc, ja sam od niej uciekłem, ale że dokument nie przyznany, więc ja pozew jejmości dobrodziejce o rahabicyę! ona mnie pozew o przechwałki!!! Oho! Szwed baba, mój dobrodzieju! umiemy jeszcze oboje Bogu dzięki poprowadzić interes! *Tandem*, po tych pozwach zapadł dekret *copiarum spraw*, ot to pięknie! a gdzież sprawiedliwość? Apeluję więc mój dobrodzieju do departamentu, i wędruję piechotą około Bożego Narodzenia do Wilna. Przeziąblem kaducznie, zachorowałem na gorączkę, i leżę u Miłosiernych mój dobrodzieju; tymczasem baba dopilnowała sprawy, i ja powróciłem sześciórką, to się znaczy wzięłem sześć niedziel wieży, kiedy ichmość nierozumiecie; oto pięknie! Ale to nic jeszcze.“ — Sularska nie mogąc doczekać się końca, wyrwała list z rąk gaduły, i oddając wchodzącej córce: „przezytaj Salomciu,“ rzekła, „ten list, od końca do końca.“ — „A czemuż nie ja moja dobrodziko?“ — „Wasan byś do jutra nie skończył ze swojemi pozwami i sprawami; czytaj!“ Po wyrazach wprzód już odczytanych następowało:

„Ostrzegalem waćpana nieraz, że trzeba się było pilnować! Padliśmy wszyscy, lecz waćpan najgorzej; bo kazano, abys zdał kalkulacyę *de asse et grano* tak *ex ofitio* służby niegdys

ekonomicznej u pana podkomorzycza odbywanej, jako też *ex possesso* schedy.“ — „Co to znaczy mosanie? wasan widzę prawnik,“ zapytał Sularski pana Bonawentury, „*de asse*? jak tam?“ — „*De asse et grano*,“ powtórzyła panna Salomea. — „Oto pięknie! *asse et grano*, cóż ma znaczyć innego? znaczy *wszystko przegrano*, mój dobrodzieju!“ — „Taki widzę i z wasana łacinnik jak i ze mnie; ale zawsze to wyraz jakiś fatalny, bom go już raz słyszał z ust pana Grzegorza, gdy przeciw podkomorzycza na ekadywizyi perorował.“ — „Życzylbym więc waćpanu, kochany rotmistrzu,“ były dalej słowa listu, „abyś nie czekając dalszych konsekwencyi wyniósł się spokojnie ze swojej schedy. Podkomorzyc ożenił się, wzięł piękny posag gotówką i układał się z kredytorami; zapewne nie skrzywdzi i waćpana, bo ja zawsze tak trzymałem i trzymam, że to zacny i poczciwy pan!“ — „Oho! innym tonem już śpiewa ptaszek!“ przerwał, kręcąc głową Sularski. — „Bądź zdrów kochany rotmistrzu i zapłać posłańcowi rubli trzy.“ — „A widzi mój dobrodziej, trzy rubelki dać trzeba! zła wprowadzie nowina, ale czyż głową o ścianę uderzyć? oto pięknie!!!“ Wszyscy jednakże stali w zamyśleniu.... „Nu dak coź robić?“ przerwała pani Sularska, „nie już utopić się?... „To więc trzeba nam będzie ustąpić? zapytała

panna Salomea, a papa wszakże mówił...“ — „Milcz!“ przerwał Sularski; znowu więc milczano!!! — „W mojej drugiej sprawie mój dobrodzieju, którą mam ze szwagrem moim w Lidzie o sto złotych posagu nieboszczki z ciotecznych cioteczno rodzonej siostry mojej,“ prawił znowu pan Babiło korzystając z powszechnego milczenia, „od ziemstwa, poszliśmy obadwa do departamentu i obadwaj przegraliśmy. Ot to pięknie! prawujemy się teraz na nowo, co Pan Bóg da, to da!“ Pan Bonawentura należał do tego rodzaju szlachciców okolicznych, jakich przed kilkunastu laty, wielu jeszcze naliczyć można było, a teraz może i żadnego nie ma; nie przeto, żeby wszyscy poumierali, lecz, że z pola zeszedli, a nowe pokolenie nie idzie w ich ślady, których całem zatrudnieniem, całem upodobaniem i nauką było pieniactwo, którzy za najważniejszy dowód swego szlachectwa, liczyli pozwy dane lub odebrane, a im więcej ich mieli lub dali, tem godniejszemi być się mniemali szlacheckiego klejnotu.

„Oj! co trzecia sprawa mój dobrodzieju, to djabelnie kręta! Idzie rzecz o granicę; ale niech mię djabli porwą, jeżeli ktokolwiek z nas prawujących się rozumie, o co nam idzie! Ot to pięknie! Posłuchaj tylko mój dobrodzieju: Był kiedyś podobno kopiec na mechu....“ —

„Ani myślę słuchać!“ krzyknął tupając nogą pan Baltazar, i obracając się do żony rzekł: „Duszeko! co ty myślisz?“ W trudnych okolicznościach najczęściej udawał się Sularski po radę, do poczciwego a prostego rozsądku swojej połowicy, i nigdy się na nim nie zawiodł, skoro posłuchał. — „Ot ja myślę,“ odpowiedziała ona, „że pojedziemy naprzód na mszą świętą do kościoła, dziś wielka uroczystość; pomodlim się Panu Bogu na tę intencję, poradzimy się w plebanii rozumniejszych od nas ludzi, i potem postanowim cokolwiek. Wszak ja nieraz waszeci mówiłam, że to w końcu na złe wynidzie; że Pan Bóg nie dopomoże; a wieleż to razy śniło się mnie!...“ — „Dość, dość duszeko! dobrze mówiłaś i dobrze mówisz, pojedziemy do kościoła; a wasan panie jurysto odpocznij do obiadu nim powrócimy.“ — Zaszła bryczka, Sularscy oboje z córkami umieścili się w niej i pojechali, a pan Bonawentura rozciągnął się jak długi na kanapie, i wnet zachrapał głęboko.

Okolo południa powrócili z nabożeństwa Sularscy, nakrytò do stołu, a spokojniejszy i weselszy gospodarz obudził swego gościa na obiad. Porwał się on nagle, a zajęty nawet i we śnie swemi procesami, wrzasnął bez przygotowania: „Co! kondemnata? ot to pięknie!“ — „Nie kondemnata ale obiad,“ rzekł

Sularski, „wstawaj!“ — „A to co innego,“
pozierając szeroko i przecierając oczy, ode-
zwał się prawnik, „oto pięknie! tak się roze-
spalem!“

Po obiedzie, skutkiem rady ogólnej i dobrze
rozważonej w plebanii, pan Baltazar siadł do
bryczki i pojechał starać się posesyjki, a pan
Babiło odebrawszy swoje trzy rubelki, które
mu z bojaźni nowego procesu oddano, dosiadł
rzeźwo swego szlapaka, i ruszył śpiesznym
klusem nazad do Wilna attentować swoją
sprawę w sądzie granicznym.

Jeszcze parę tygodni upłynęło tu bez od-
miany; tylko w ogrodzie dwór ten otaczającym,
w którym maj rozwinął wszelkie bogactwa
wiosny, po długich lipowych ulicach od trzech
dni co wieczór słyseć się dawał głos cienki
i fałszywy, wyśpiewujący wyraźnie od początku
do końca rozmaite światowe pieśni jak np.:

Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły,
I ktoś tam klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem! *)

to znowu:

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory,
Tam ja z moją Justyną
Stodkie pędził wieczory! i t. d. **)

*) Karpińskiego. **) Tegoż.

albo także:

Śliczna Elżuniu! już to podobno
Kończą się nasze lube wieczory!
Dziś jeszcze razem, jutro osobno,
Dzikię nas będą przedzielać bory!

Choć mnie nie będzie, ty wspomnij przecie
Żem cię ukochał jedną na świecie! *)

Śpiewaczka nie darowała ani jednej strofki,
ani jednego wyrazu; gluche echo jej tylko od-
powiadało, bo nikogo nie było w ogrodzie do
wtóru lub oklasków. A jednakże ona podobała
sobie widocznie w swym śpiewie, nawet całą
aryę lub niektóre ulubieńsze strofki po kilka-
kroć powtarzała. Śpiewy te kończyła pospolicie
pobożną pieśnią: „Kto się w opiekę poda
Panu swemu“ i t. d. i potem ciche mruczenie
pacierza zwiastowało ukazanie się samejże sy-
reny. Jakoż z altany wychodziła powolnym
krokiem staruszka, miernego wzrostu i czer-
stwej jeszcze cery. Twarz trochę podróżowana
i czepeczek starannie na głowie opięty, do-
wodem być mogły, że wydać się staruszką
wcale nie chciała. Białe szlafroczek wieczorny
i chustka pięknego wzoru okrywały jej figurkę
suchą, którą wiek schylał, a miłość własna
prostowała; wreszcie łagodność w oku i na
całej twarzy, od razu zjednać jej mogły przy-

*) Nagurskiego.

chylnosc, której rzeczywiscie wartą byla. Ciocia to byla podkomorzycza, wdowa bezdzietna; listem jego wezwana przybyla ona tutaj, dla przyjecia mlodej gospodyni, zony kochanego jej Teofila, ktorego jak syna kochala, i dla przygotowania zapasow dla nowego gospodarstwa. Jakoz dwie pakowne bryki przyszly za kolaska ciotuni, a Michal ujrza! od razu napehniona cala swoja spizarnie i apteczke.

„Dobry wieczor kochany Michale,“ mowila staruszka. — „Dobry wieczor mościa dobrodziko.“ — „A coz nie slychac czego o naszych?“ — „Nie mościa dobrodziko, ale ja mysle, ze dzis w nocy przyjadą.“ — „Pan Bóg z nami Michale! a któz ich w nocy z chlebem i z solą przyjmie? Przeciez i przykazywalam i prosilam Józefa, ktorego pan Teofil do mnie z listami przyslal, aby tak kierowal w podrózy, zeby tu przed sniadaniami o samej jedenastej wjezdzi! i dla tego codzien jak sam widzisz, ubieram zrana wszystko jak nalezy, i czekam tych milych gości. Ale w nocy! co za mys! Nie! Józef nie zapomni mojej prozby, a jeszcze dalam mu i chusteczke tarletanową na szyje...“ — „Ej! mościa dobrodziko, Józef balamut! a potem, czy to pan nasz Józef slychac bedzie? Jak wypadnie tak przyjadą, a imosć dobrodzika spij dla tego smaczno, bo to w starosci przebudzac sie

w nocy bardzo nie zdrowo!...“ — „Zglupiales mój kochany Michale! coz to w starosci? w jakiej starosci?“ — „A jakze mościa dobrodziko,“ rzekl Michal, zazywajac powoli tabake i zadarlszy szeroka lysine do góry dla latwiejszego rzeczy przypomnienia; „a jakze? Ja prawda bylem juz kuchcikiem, kiedy imosć dobrodzika rodzila sie; nieboszczyk podstoli, ojciec imosci dobrodziki, a dziad naszego terazniejszego pana, wyjezdza! jak dzis pamietam do Niešwieża, do księcia Radziwilla pana kochanku, na jakis fest. Alez ja mam lat siedmdziesiat, no to imosć dobrodzika lat piecdziesiat dobrze minela, daj Boze i drugie tyle...“ Ale ciocia i poczatkum nawet tego rachunku nie dotrzymala, i gdy Michal spuscił lysine na dól, nie obaczyl juz swojej imosci dobrodziki; pokiwal glową, zażył jeszcze raz tabaki, i poszedł spokojnie, nie domyslajac sie najmniej, ze ją obrazil.

Po dniach jeszcze kilku, stary Michal stal na srodkiem dziedzińca i pogladal na droge z góry ku dworowi schodzaca, gdy nagle pies wielki wskoczył mu na piersi. Przelekniony starzec odepchnal psa, lecz razem z zadziwieniem postrzegł, ze pies przypadł mu do nóg, lizal mu ręce i lasil sie z oznakami najzywszej radości. Spojrzal wtenczas rozważniej Michal i poznal wyzła *Waleta* faworyta pań-

skiego, który sam jeden prawie, w dniach smutku, został mu nie zaprzeczoną własnością. Po latach pięciu oddalenia, Walet o miłą poczuł rodzinne powietrze, i polecał naprzód, jakby posłaniec oznajmujący przybycie pana, i poznał na dziedzińcu swego starego karmiciela. „Walet! Walet! pocziwy Walet!“ wołał Michał, a pies był mu znowu na piersiach. Nie odpychał go tą razą, ale przyciskał i głaskał starzec. Gdzież jest siedlisko instynktu psów? tych wiernych naszych przyjaciół i towarzyszy? w ich głowach czy sercach? Nie wiem! ten raz jednak instynkt był w sercu Waleta!

„Jadą, mościa dobrodziko! jadą!“ rzekł Michał wchodząc z pośpiechem do pokoju, w którym ciocia siedząc w codziennem oczekiwaniu, ubrana wytwornie w galowe materye i gęste korony, wiązała siatkę z nici złotych i jedwabiu na podarunek dla swej synowcowej. — „Gdzież są? czy już ich widać?“ zapytała z radością. — „Nie, mościa dobrodziko, ale oto przybiegł posłaniec,“ rzekł, wskazując na Waleta, i tłumacząc przyczynę ukazania się jego i odnowienia dawnej znajomości. Ciocia pogładziła psa i wyszła, aby ostateczne swe zrobić przygotowania.

Jakoż po niedługiej chwili, ukazało się z góry kilka pojazdów.... Spotkajmy ich pier-

wej niżeli przybędą. — „Oto jest dom nasz, moja droga Maryo!“ rzekł znajomy nam młodzieniec niegdyś, a dziś mąż pięknej, młodej, siedzącej obok niego w powozie żony. „W tem miejscu odtąd będą upływać dni nasze, oby Bóg dał dla obojga szczęśliwe! Pięć lat mija, jak ze ściśnionem sercem wyjechałem ztąd bez nadziei powrotu; mogłemże wtenczas przewidzieć, że nietylko sam wrócę, ale jeszcze przywidę pod dach mój ojczysty, odzyskany na nowo, zakład mojego stałego na całe życie szczęścia, ciebie! moja droga Maryo!“ Młoda małżonka spojrzała na dom biejącego zdaleka, powlekła ciekawym wzrokiem po całej okolicy, i potem oczy łąz zwiłżone, zwróciła tkliwie na męża! to było jej całą odpowiedzią, zrozumiała wszelakoż jego sercu, do którego ją czule przycisnął.

Trzasnął trzykrotnie z bicia kuczer, i zajechał rzeźwo przed ganek, na który wystąpiła ciocia do powitania. Trzymała ona w rękę srebrną tacę, a na niej kilka szczypt soli, kilka porcyjek chleba i związka rozmaitych kluczyków, na złocistym kuku poczepionych, leżało. Obok dwie małe dziewczynki, chędogo w białych sukienkach ubrane, trzymały wazony miesięcznych róż, kwiatami i pączkami osypane. Gdy wysiedli państwo młodzi, nie dając czasu do bliższego powitania, postąpiła ciotka,

i oddając tace w ręce nowej pani, rzekła poważnie: „Witam cię młoda gospodyni w domu męża twojego! przyjmuję cię darem Bożym, chlebem i solą, i życzę z całego serca, aby u was chleba i soli było zawsze dostatkiem i dla was samych i dla ludzi!“ Potem wzięła klucze i zasuwając za wstęgę opasującą Maryę, „szafuj skromnie a pocziwie,“ kończyła dalej, „darami od Boga wam udzielonemi! Rządź jak matka czeladką i domem waszym, a Bóg wam szczęście i błogosławić będzie, tak jak ja wam błogosławię, i jak te róże w pączkach zakwitniecie w potomkach waszych!“ — „Moja najdroższa ciotko! moja droga matko!“ wykrzyknął Teofil, płacząc rzewnie i rzucił się jej do nóg. Taż samą myślą, temże samem uczuciem przejęta, czuła i również zapłakana żona jego, widząc także jakby matkę swoją, w matce swojego ukochanego, upadła razem z mężem ku ziemi i obejmując kolana zacnej matrony, szlochającej i przyciskającej ich obojga do serca „ach!“ mówiła, „ty i moją matką będziesz, bo i ja własnej już nie mam!“ Nakoniec znowu ciocia podała tacę swej synowicy, i zmusiła, aby trzymając oną w ręku weszła na przodzie do pokoju. Tam nowe uściśnienia, nowe wynurzenia radości i przywiązania! Stary Michał stał z boku, żegnał on i błogosławił swych

panów, powtarzając z cicha: „Niechaj was pan Bóg błogosławi! Niechaj Pan Bóg błogosławi!“ Dosłyszał słów tych pan jego, obrócił się nagle, i postrzegł twarz starca we łzach, a rękę dającą krzyż na powietrzu. „Przyjmuję! przyjmujemy oboje, mój pocziwy Michale! mój wierny przyjacielu! mój stary sługo! twoje błogosławieństwo“, rzekł, uściskując go serdecznie, gdy starzec całować mu chciał ręce, których mu on nie dawał; lecz natomiast podniósł mu do ust rękę żony i rzekł: „ona cię kochać i szanować będzie, tak jak ja cię Kocham! Maryo! to jest stary sługa dziada mojego i ojca, mnie on wypiastrował na rękę.“ „Niech go Bóg jak najdłużej nam zachowa,“ odezwała się Marya. — „Nie, mościa dobrodziko! nie! już mnie nie długo na tym świecie! Ale niechaj sobie! dziej się wola boża! pan do nas wrócił, jest teraz komu rzucić mnie garsć piasku na oczy!“ Wyszedł rozrzuwiony starzec, bo się wstydzil swojego płaczu.

„Czas się posilić dzieci,“ rzekła ciotka, podając rękę Maryi i przeprowadzając ją do drugiego pokoju, gdzie obfite i pełne smacznych łakoci przygotowała śniadanie, chcąc dać od razu młodej mężatce naukę i dowód głębokich swych wiadomości w sztuce smażenia agrestu, róży, i berberysu, oraz pieczenia pierników, zaprawiania likworów. Tymcza-

sem z przybyłych bryk za koczem, wysiadł pan Józef z ładną, młodą i wesołą garderobną, dla której przez całą drogę był nadzwyczajnie grzecznym; wszystko jednak napróżno, bo trzpiot dziewczyna żartowała z niego i gardziła wszelką jego zalecaną. Wnoszono kufry, paki, kroby i tlomoki, z dostatnią panną młodej wyprawą, jedne do domu mieszkalnego, inne na folwark, gdzie już nie było pana Baltazara, bo się on od miesiąca wyniósł na posesyjkę. Wszystko to w zamieszaniu i nieładzie, czekało rozporządzenia, którem się ciocia bez zwłoki zajęła, a Teofil wzięwszy żonę pod rękę, oprowadzał ją po domie, po ogrodzie i po całym dworze, pragnąc przyswoić, że tak powiem, nową ptaszynę do nowego gniazda.

Miła jest młodemu małżeństwu chwila wspólnego objęcia nowego domu i gospodarstwa; miłość ich w pierwszym jeszcze zapale, nadzieją i wzajemnem zaufaniem szczęśliwa, roi za każdym krokiem i z każdego szczegółu wyrabia im obrazy przyszłego dla nich rajskiego życia; sami są i dla siebie, własnym zostawieni siłom, wszystko co ich otacza do nich i od nich zależy; każde miejsce znajduje swe przeznaczenie i udział w rozkoszach, które sobie wróżą, i których urokiem się poją. Doświadczał tego zarówno bogacz oprowadzający raz pierwszy swoją oblubienicę po ozdobnych

komnatach i składach swoich dostatków, jak i ubogi kmiotek, gdy pierwszy raz swoje domostwo i chudobę żonie w opiekę poleca; doświadczał tego tem bardziej Teofil, bo w sercu jego razem z rozkoszą obecnej chwili i nadzieją równej przyszłości, łączyły się drogie dlań wspomnienia dziecinnego wieku, i radość z odzyskania dziedzictwa, które straconem dla siebie na zawsze być sądził. „To moja Maryo, nasz pokój jadalny, i stąd wyście do ogrodu.“
 „Ach! jakaż piękna i tak bliska altana! Proszę cię Teofilu dziś tam na herbatę!“ mówiła Marya, a szczęście błyszczało w jej źrenicy! — „To nasz pokój sypialny; a ten obok gabinet, był dawniej pokojem matki mojej; niech więc teraz będzie twoim, aby zawsze służył najdroższemu dla mnie osobom!“ — „A gdzież twoja kancelarya mój miły? Pozwolisz, że ją sama tobie uporządkuję i ubiorę!“ — „Dobrze, lecz oto twoja apteczka!“ — „A tutaj mościa dobrodziko, spiżarnia,“ rzekł Michał, otwierając drzwi, przy których czekał pani, pragnąc podobno pochlubić się przed nią ze swoich zapasów. — „Co za obfitość wszystkiego!“ rzekła Marya. — „U nas zawsze tak bywało mościa dobrodziko,“ odzywa się Michał. — „Oj! nie zawsze, mój dobry Michale, chociaż nigdy głodni nie byliśmy. Ale domyślałam się, musiała to ciocia kochana wspomódz nasze nowe gospodarstwo!“

„Tak jest mości dobrodzieju! Ale co ten zapas,“ rzekł Michał, odkrywając naczynie duże, pełne jajek, „to jeszcze przed wielkanocą, włościanie ze wsi pańskich przynieśli na włóczębne.“ — „Pocziwi ludzie! z jakąż radością ich ujrzę!“ W tej chwili weszła i ciocia. Możemy jej przebaczyć, że chciała za swe dobre i przywiązane serce, mieć nagrodę w zadziwieniu i wdzięczności odbierających jej dary; jakoż rzucili się oni na nowo w jej objęcia, i tak w pieśczętach i radości upłynął dzień cały.

Wieczór piękny majowy, do odleglejszej wabił przechadzki, i Teofil pragnąc jak najszybciej powitać swych włościan, zaproponował odwiedzić bliskiej a nam znajomej wioski. Zasłyszał o projekcie Michał, pobiegł więc natychmiast, ile mu wiek biedz dozwalał i uprzedził panów. Od rana czekano tam bliższych ze dworu wiadomości; gdy więc stary Michał ukazał się na ulicy, hurmem otoczyli go wszyscy; lecz on nie odpowiadając na żadne pytania: „rydlówek bracia!“ zawołał, „rydlówek!“ — „A na co?“ — „Ale co wam do tego? rydlówek tylko dawajcie, co najprędzej i co najwięcej!“ — Rozbiegli się więc chłopaki, w mgnieniu oka kilkanaście nanieśiono rydlówek. Porwał starzec pierwszą i zaptajając ją jak mógł najgłębiej we wnętrzości

kopca eksdywizorskiego, rozstrzygnął tajemnicę wołając: „Kumie! swacie! bracie, za mną do roboty! rozrzućcie kopiec nim państwo nadejdą, aby się nie *zaltarowali*, bo zaraz tu będą u was w gościnie. Dzieci! bierzcie neculki i roznoście piasek! A co Marcinie, nie wierzylesz staremu Michałowi?“ — „Chwała Bogu!“ odpowiedział z równą gorliwością pracujący Marcini; a tymczasem zmniejszał się coraz i rozsypywał na wszystkie strony, kopiec eksdywizorski, jakby nazad oddając dziedzicowi zabraną ziemię, z której urósł. W połowie roboty nadszedł Teofil z żoną i ciotką; przyśpieszyli bowiem kroku, postrzegłszy z daleka jakiś szczególniejszy ruch w wiosce. Za ich nadejściem, ustała praca, i pozdrowił dziedzic życzliwych swoich poddanych!!! Powitania wzajemne, łzy starych gospodarzy, uściskanych czule przez ich pana; przypominania mu cnoty i dobroci jego ojca i dziada; a nawet wyrzuty życzliwe błędów jego młodości, jako przyczyn wspólnej ich biedy, upewnienia wzajemne dziedzica, że wrócił z prawdziwą i niezmienną chęcią zajęcia się szczerze swoim i swoich poddanych losem; ciekawe przypatrywanie się kobiet z bliska, a dziewcząt i dżiatwy z za płotów młodej pani, i proste ich ale dobitne jej postaci pochwały; i nakoniec wizyta do starego Marcina, zakończona zaproszeniem

wszystkich włóścian z tej i z drugich wiosek na jutro do dworu na wieczorynkę, a kobiet i dziatwy po gościńce; wszystko to razem do całodziennych dodane przyjemności, tworzyło potok czystego szczęścia, zalewający serce młodego człowieka, i gojący w niem rany prześlności.

Spóźniony już był wieczór i w noc zachodziło, gdy ze wsi powracano do dworu. Lękając się wilgoci wieczornej i kataru, ciocia pożegnała wnet młode małżeństwo i poszła do spoczynku; lecz małżeństwo to nie chciało jeszcze kończyć godzin tak błogo im biegących; weszli więc oboje do ogrodu. Noc była piękna, księżyc w połowie pełni tocząc się po najpogodniejszym i miryadami gwiazd osypanem niebie, przelamywał się w promieniach po gałązkach brzozy, młodym osypanych liściem; szmer potoku brzeżącego ogród, i rozlegający się śpiew słowika, niewymowną a miłą harmonią rozlewały w czystym i ożywiającej wonią napelnionem powietrzu!!! Komuż się nie zdarzyło napawać rozkosznem odetchnieniem pogodnej i ciepłej majowej nocy? Czyjaż dusza nie uniosła się natenczas tkliwem rozrzewnieniem, miłością ku Twórcy, miłością ku naturze, miłością nakoniec ku ulubionej sobie istocie! a zawsze miłością, bo wszelkie uniesienia

człowieka, szczęśliwością wzbudzone, są zawsze jednym i temże samem uczuciem.... miłością!

W takim upojeniu uczuć i myśli, przechodzili oni pokilkakrotnie ogród, aż nakoniec dusze ich przenikające się nawzajem, połączyły się w jednej, wspólnej, pokornej, a z głębi serc wdzięcznych ku otwartym niebiosom wznoszącej się modlitwie!!! Była ona wstępem, mającym zająć pierwszą kartę drugiego rozdziału życia młodego małżonka, a którego ozdobą, rozkoszą i nadzieją miał być anioł stróż, wcielony w piękną niewiastę.

Ach cóż to jest dobroć w kobiecie? Cóż doskonalszego wyjść mogło z rąk Twórcy nad kobietę? Z postacią anioła i z dobrocią anioła! z dobrocią, malującą się na jej obliczu, tonącą w jej łagodnem oku, uśmiechającą się wdzięcznie na ustach, i wypływającą z czulego serca harmonijnym głosem i słowami pieszczoty, miłości, pociechy, lub proźby; objawiającą się nakoniec w każdodzienniej czynności i w uszczęśliwieniu wszystkiego, co ją otacza!!!

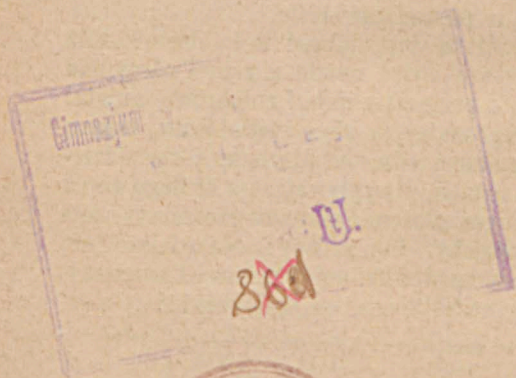
„Stokroć szczęśliwy! któremu się zdarzysz!“ *)

Kiedy opowiadanie autora znajduje echo w sercach czytelników, autor napisał książkę

*) Krasicki.

pożyteczną, bo prawdziwą, bo wzbudził myśli i uczucia często uśpione, tak jak się stosowną uprawą, życie obudza w zamarłym ziarnie, które potem pożyteczne przynieść może owoce. — Oby obrazy moje tego szczęśliwego dosięgły celu!

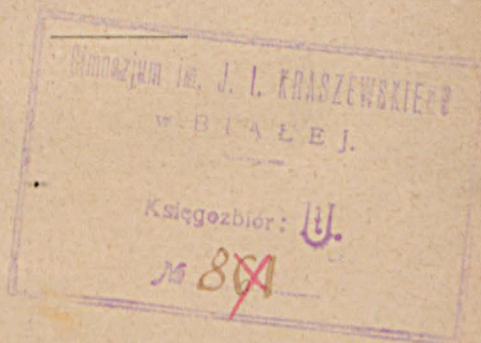
K O N I E C.




Drob. u
 Zaok. 53P
 N. inw. 489

SPIS RZECZY.

	Strona
Ostatnia sesya exdywizyi	3—28
Samowar	29—49
Powrót dziedzica	50—86



u
 884

The image shows the front cover of an old book. The cover is decorated with a dense, intricate marbled pattern in shades of black, dark grey, and off-white. The pattern consists of irregular, interconnected shapes that resemble a stone or biological texture. In the upper right corner, there is a small, rectangular white paper label with the number '538' written on it in a purple or blue ink. The book's spine is visible on the right side, and the edges of the pages are visible on the left. The overall appearance is that of a well-used, antique volume.

538